Nr. 52. Kraków, 25 grudnia 1910 r. Rok VIII

OJCZYZNA

tygodnik dla ludu polskiego.



Wychodzi na każdą niedzielę.

Przedpłata, którą płaci się z góry rocznie, półrocznie lub kwartalnie wynosi: w Galicyi 4 korony, w Niemczech 5 marek, w Ameryce 2 dol., w Rosyi 3 ruble, we Francyi 8 frank. — Numer oddzielny: 10 hal. — Za zmianę adresu płaci się 20 hal.

Adres redakcyi i administracyi: „Ojczyzna“, Kraków, Rynek główny. Linia A-B, l. 46, III. piętro.

Nasze życzenia...

Wigilia Bożego Narodzenia od szeregu już wieków jest u Polaków w wielkiem poszanowaniu. Stół sianem i obrusem kryty, a w sianie zboże, opłatki... Oczekiwanie pierwszej gwiazdki na niebie przez dzieci, spieszne kończenie robót, ogień pod kuchnią — to wszystko wytwarza nastrój podniecony, pełny oczekiwania — to wszystko usposabia domowników tęskno i serdecznie, a tych, co w wigilii z powodu oddalenia od rodzinnej strzechy udziału wziąć nie mogą, przejmuje uczuciem żalu, opuszczenia, samotności i tęsknoty za swoimi.

Po pacierzu siadają do stołu — ojciec, matka, dziadkowie, łamią się opłatkiem z rodzeństwem i służbą. Przy stole cisza. Każdy myślą cofa się wstecz, liczy i wspomina tych, co byli, co przy tym wspólnym stole opłatkiem się łamali — a dziś już ich nie ma, nie wrócą...

Chwila taka przy wigilii — a w czyimż domu jej nie ma — to chwila rachunku z Bogiem, ludźmi i samym sobą za przeszłość. Upłynął znowu kawał czasu, kawał życia znalazł się poza

nami — nam może nie dużo już czasu pozostało — czy spełniliśmy godnie swój obowiązek? Czy ścieżka naszego żywota prowadzi prosto do celu, czy w trudzie i znoju, raniąc nogi o ciernie przydrożne, przebywamy ją? Czy jest plon naszych wysiłków? Czy nie przejdziemy jak ta bańka mydlana, która zniknie, a której brak odczuje na małą chwilkę chyba tylko dziecię młodziutkie?

Nie skarżyć się nam na los, na ludzi, na drugich, nie skarżyć się nam na ciosy, które Bóg zsyła na wszystkich, ale samym budować twardą, granitową przyszłość. Nie wołać pomocy obcych, nie czekać zachęty od swoich — bo życie to twarda, nieubłagana konieczność — a krótkiem jest i nie wróci po raz drugi, aby powetować czas stracony.

A jeśli, mimo ciosów, mimo luk w naszem otoczeniu, są pomyślne wyniki żmudnych starań z lat ubiegłych, jeśli są siły i ochota do pracy dla drugich i siebie, dla Boga, dla Ojczyzny, dla swoich — to dzień wigilii niechaj je umocni, zasili, pokrzepi. Niechaj wspomnienie Jezusa nieznanego w chwili narodzenia — a do którego dziś świat należy — natchnie nadzieją i dobrą myślą. Niechaj z otuchą patrzy w przyszłość, z radością gromadzi siły, wciąga w płuca serdeczną woń domowego ogniska. Niechaj z pogodą śpiewa:

W dzień Bożego Narodzenia
Radość wszelkiego stworzenia...

Bo dzień ten dniem święta, radości, spoczynku, spokoju, otuchy, radości i miłości jest w świecie chrześcijańskim.

* * *

Niechaj ten uroczysty wieczór, — a potem i święta całe zejdą Przyjaciołom naszym słodko, mile i szczęśliwie.

Bóg się rodzi.

(Kolenda).

Na niebie świta,
Zbawcę świat wita,
Rodzi Go czysta Panienka,
W żłóbeczku leży,
Ten co świat dzierży:
Mieszkaniem cicha stajenka!

Znikła noc ciemna,
Chwila znamienna,
Bóg-Dziecię światłem światłości,
Zszedł dziś na ziemię,
By ludzkie plemię,
Zrównał i zbratał w miłości!

Spieszą królowie,
Możni panowie,
Z dalekich krain Mocarze,
Hołd Mu oddają,
Dary składają:
Kadzidło, złoto, mir w darze!

Aniołów głosy,
Płyną w niebiosy,
Budzą pasterzy z uśpienia,
Gwiazda wspaniała
Drogę wskazała,
Gdzie szukać źródła zbawienia!

Razem stanęli,
Razem klęczeli
Biedni prostacy z królami,
Bóg-Dziecię mile
Błogie te chwile
Wciąż błogosławił rączkami!

Hej! ludzie prości,
Bóg wśród nas gości,
Pójdźmy Go witać gromadnie,
W Jego świątyniach,
W radośnych pieniach:
On nasze serca owładnie!

Witaj Dziecino,
Rajska Ptaszyno,
Tyś nasze umiłowanie,
Podnieś Swe Ręce,
Boskie — Dziecięce:
Błogosław Polskę nasz Panie!

W Kołomyi 24 grudnia 1910,

Szymon Chełpiński.

Z opłatkiem życzeń...

...A gdy na wilię w kole rodzin swoich zasiądziemy do wieczerzy wspólnej i będziem się łamali opłatkiem, wspomnijmy, że w duszach naszych żyje Polska nieśmiertelna, żeśmy na ziemi polskiej jedna rodzina wielka, której dola, to dola nas wszystkich... I niech się zjednoczą myśli nasze, a w szczerej miłości spieszmy wszyscy do siebie z opłatkiem życzeń najserdeczniejszych... Opłatek życzeń!

„Rok po roku marnie leci,
My w niewoli, my w niewoli;"

Więc niechaj przybliży się dzień, w którym naród polski wstanie na nowo niepodległy, w którym narodzi się nowe szczęście na otarcie łez wiekowych, na zapomnienie cierpień, przez wrogów dziś nam zadawanych...

Niechaj rychło wśród wielkiej ciszy tych, którzy dziś krzyczą przeciw Boskiej sprawiedliwości, rozejdzie się dreszczem trwogi ich wstrzą-

sający głos całego narodu: Wstań, Polsko, wolność się rodzi!

* * *

Narodził się Chrystus! Cieszą się ludzie, kolendy śpiewają, a w sercach taka jakaś jasność, jak wtedy, kiedy do Betlejemu spieszyli pastuszkowie i Panu ochocze składali dary...

Jasność w sercach: niema w nich uraz ni gniewu, wszyscy w zgodzie koło siebie, jak gdyby nigdy nie było kłótni i swarów żadnych...

Ta zgoda święta niechaj z opłatkiem zagości w chaty nasze! Porzućmy precz niesnaski wszelkie i jedno wszyscy miejmy na oku: niechaj rośnie dobro narodu, a zginie wszystko, co to dobro rujnuje...

Tyleśmy już strat ponieśli wskutek niezgody wewnętrznej, wskutek braku spoistej, silnej organizacyi, którаby mogła odeprzeć zamachy na całość nas samych i naszej ziemi!

Popatrzmy na okół siebie, z ilu już zeszliśmy posterunków, by na nich wróg się usadowił, ileśmy zaprzepaścili z tej ojcowizny, która powinna być największym skarbem dla nas, skarbem, który chyba tylko pomnożony winniśmy przekazywać dzieciom swoim...

A tymczasem przechodzi tyle ziemi w obce ręce, tylu kopalinami bogaci się wrogi nam żywioł, tyle pieniędzy wydajemy na obce towary! Sami nieprzyjaciół wpuszczamy do domów swoich, sami siebie wywłaszczamy...

* * *

Więc nieśmy opłatek życzeń, by odtąd nikogo nie było wśród nas, którуby nie poczuwał się do obowiązku strzeżenia dóbr narodowych. A chodzi nie tylko o dobro materyalne, lecz w równej mierze o dobro duchowe.

Szanujmy przepiękny język ojców i matek swoich. Niech nikt swej polskiej duszy nie kala używaniem obcej mowy, bo język ojczysty, a więc dla nas język polski, to klucz, który otwiera bramy ducha narodowego. Większość ogromna narodu naszego wyznaje wiarę rzym.-kat. Więc szanuj, ludu polski, tę wiarę, w której obronie ojcowie nasi pierś swą nastawiali, za którą bracia nasi dziś jeszcze cierpią w zaborze pruskim i rosyjskim. Z polską modlitwą idź do polskiego kościoła, choćby nawet ten kościół był daleko.

Nie żywmy do Rusinów żadnej nienawiści, choć oni dzisiaj nas tak nienawidzą. Niechcemy też żadnej krzywdy ruskiej, jak wogóle niczyjej, bo naród nasz nie wyrósł na krzywdach, a tylko od krzywd bronić się musiał zawsze. Więc i dziś wzywamy tylko do obrony energicznej tego, co nasze, polskie.

Niechaj w nas snuje się nić nieprzerwana polskiej myśli i przepełnia żywa świadomość polskiego czucia. Na polskiej ziemi, wśród wspaniałych pomników kultury polskiej, nie powinien zatruwać nas żaden duch obcy, żadnym obcym nie powinniśmy ulegać wpływom. Każdy z nas wiedzieć musi, że od kolebki do grobu towarzyszyć nam powinna polska pieśń serdeczna, pamięć o potężnej ongiś przeszłości polskiej, przywiązanie nawet do tej nagiej skały, co legła na stoku polskiej góry, lub do tych wód, co płyną w strumykach i rzekach polskich...

* * *

...A gdy na wilię w kole rodzin swoich zasiędziemy do wieczerzy wspólnej i będziem się łamali opłatkiem, wspomnijmy o przodkach swoich, których prochy spoczywają w licznych mogiłach i kurhanach, by w długie wieki strażować na granicach ziem polskich. Wspomnijmy o nich i na skrzydłach tęsknoty za wolnością lećmy z opłatkiem ślubowania, że nie zapomnimy nigdy, jakośmy byli narodem niepodległym, który praw do tej wydartej niepodległości nie postradał mimo rozbiory i noty dyplomatyczne.

Przy prochach przodków strażować będziem, aż się narodzą mściciele krzywd strasznych, krzywd, którym w dziejach ludzkości niemasz równie wielkich.

Wstaną mściciele! Bo wszelkie gromy, jakie spadają na nas, nie potrafią nas tak przygnieść, byśmy zatracili wiarę w Boga, w sprawiedliwość, w swoje własne siły żywotne.

I mimo tak liczne ciosy, które już spadły na nasz naród, mimo te ciosy, które niezawodnie jeszcze nieraz uderzać w nas będą, iść będziem w przyszłość zawsze z podniesionem czołem a z opłatkiem życzeń, by rychło zajaśniała gwiazda naszej siły narodowej, co nas zaprowadzi do wolności upragnionej.

Nowy Sącz w grudniu 1910.

Bronisław Kryczyński.

Kolenda.

Bracia czytelnicy, gdzie tylko mieszkacie,
czyli to w pałacu, czy w ubogiej chacie,
wszyscy poklękajmy, spólnie zaśpiewajmy:
Hej kolenda, kolenda!

Bo dziś się narodził Syn Boga jedyny,
który przeszedł zmazać wszystkie nasze winy,
cośmy nabroili zdawna i w tej chwili.
Hej kolenda, kolenda!

Najświętszej Panience cześć się też należy,
wraz z Synaczkiem miłym, który w żłobie leży,
także Józefowi, Ich Opiekunowi.
Hej kolenda, kolenda!

Każdy niech z ochotą do stajenki bieży,
bo tam Stwórca świata na sianeczku leży;
wszyscy się zbierajmy, razem zaśpiewajmy:
Hej kolenda, kolenda!

Przecież nam wypada dziś Boga przeprosić
za takie zniewagi (niebędę ich głosić,

bo już o nich wiecie, — wszak było w gazecie).
Hej kolenda, kolenda!

Przebaczże nam Panie! skrusz serce każdego,
by się nie dopuszczał występku takiego,
żeby swego brata zgładzić ręką kata.
Hej kolenda, kolenda!

Jeszcze co wam powiem, moi Bracia mili,
byście za jednego wszystkich nie winili:
gdy jeden zbrodniarzem, to nie wszyscy razem.
Hej kolenda, kolenda!

Najświętsza Panienko my się nie gorszymy,
Twoją Jasną-Górę po dawnemu czcimy,
jak my Ją zwiedzali, tak będziem i dalej.
Hej kolenda, kolenda!

Maciej Kmieć.

Prześladowanie. Z zagłębia ostrawsko-karwińskiego wydaliły władze niemieckie wszystkich Polaków, pochodzących rodem z pod Prusaka lub Moskala. Jestto postępek według wskazówek Niemieckiej Rady narodowej, o których pisaliśmy w „Ojczyźnie“.

Postępowaniem władz niemieckich powinni się zająć bardzo energicznie polscy posłowie — a robotnicy mają stać śmiało przy swojem. Nawet brutalne czyny hakatystów nie powinny zastraszyć nikogo.

Kto się urodził Polakiem — Polakiem umrzeć powinien.

DUCH MATKI.

(Zdarzenie prawdziwe).

Była to posępna noc zimowa. Wśród najbiedniejszej i najludniejszej części Londynu, w ubogiem mieszkaniu kapłańskiem, siedziało razem dwóch księży, z których starszy wydawał się być niesłychanie znużonym. Wtem odezwał się dzwonek i w drzwiach stanęła kobieta czarno ubrana, poważna. Ta jej powaga dodawała majestatu niezwykłej urodzie i obejściu. Przystępując do Ojca Warrena, odezwała się cichym, lecz dźwięcznym głosem:

— Wybacz mi Ojcze, że tak późno i w podobną noc śmiem ci narzucać mą prośbę. Czy raczysz pójść ze mną, aby zanieść pociechę i pomoc zbłąkanej, a odchodzącej duszy? Czy zechcesz pogodzić ją z Bogiem i pokrzepić ją na drogę wieczności?

Prosiła tak usilnie i tak rzewnie, że ksiądz nie wymawiał się pomimo zmęczenia, ale zarzuciwszy płaszcz, pospieszył za nią wzdłuż ulic i placów. Przystanęła nareszcie, zapukawszy do bramy oddaliła się spiesznie i zniknęła z przed jego oczu. Drzwi otworzyły się na oścież, a na progu ukazała się postać schludnej, starszej już sługi.

— Powołano mnie tu do umierającego — tłumaczył się kapłan — proszę mnie natychmiast do jego zaprowadzić łoża.

Kobieta spojrzała ze zdziwieniem.

— Nikt tu nie umiera, nikt chorym nie jest. Ale niech się dobrodziej sam o tem przekonać raczy i wstąpi do mego pana.

Poczem zaprowadziła księdza do sali jadalnej, gdzie samotnie siedział młodzieniec przed zastawionem stołem. Uprzejme powitanie zniewoliło O. Warrena do zatrzymania się przez chwilę, choćby dla wytłumaczenia swoich nieproszonych odwiedzin.

— W gotowości poświęcenia szanowny Ojciec uległ zapewne miłosiernym fantazyom jakiej litościwej osoby, która pomyłką adresu całą sprawę zepsuła. Niepodobna dziś jej roztargnienia naprawić, ale przynajmniej stąd dobrodzieja nie wypuszczę, nie ogrzawszy go wprzódy i nie nakarmiwszy.

Po chwili rozmawiali już z sobą, starzec i młodzieniec, jak dobrzy dawni znajomi.

— I jam niegdyś do waszego należał Kościoła, rzekł młodzieniec, a dziś już nie jestem członkiem zgoła żadnego! Odkąd mnie najdroższa odumarła matka, nic mnie już nie zajmuje. Tęsknię wciąż do niej, do dawnego życia, straconego, a pełnego niegdyś szczęścia. Niepodobna, aby była zapomniała o swym synu, jeżeli zażywa nieśmiertelności. Ojca wcześnie straciłem, byłem wszystkiem dla matki, ona wszystkiem dla mnie. Żadna myśl nas nie rozdzielała, a teraz umarła i na wieki ją pożegnałem!

— Wróć do Kościoła, do wiary matki, a odzyskasz nadzieję połączenia się z nią w wieczności — odezwał się kapłan, i tak długo i tak wymownie do skołatanej przemawiał duszy, aż młodzian klękając, zawołał:

— Ojcze, pojednaj mnie z Bogiem, przyjmij mnie napowrót na łono Kościoła!

Ksiądz wszedł do sąsiedniego pokoju, ażeby dać młodemu człowiekowi chwilę czasu, do skupienia myśli konieczną. Wtem ujrzał przed sobą portret osoby, która go w te progi przywiodła. Stał jeszcze zdumiony przed obrazem, gdy przybliżył się doń młodzieniec:

— Patrzysz, Ojcze, na wizerunek mojej matki i zrozumiesz, ile mi jej na każdym kroku braknąć musi! Dziwna rzecz, dziś bliższym się jej czuję, aniżeli innych dni. Czuję, jakoby całkiem nie umarła, jak gdybym znów miał się z nią spotkać i zobaczyć. Teraz i to zaraz pragnę się wyspowiadać, otrzymać przed nocą jeszcze rozgrzeszenie, aby czemprędzej zwalić mur, który mnie z jej pamięcią i nadzieją połączenia się z nią rozdziela.

— I owszem, mój synu — odrzekł pobożny zakonnik.

Nie tu miejsce opowiadać szczegóły tej tajemnej rozmowy i doniosłej chwili. Późna była

godzina, gdy O. Warren opuścił dom swego znajomego, naznaczywszy mu spotkanie na dzień następny o 7 godzinie z rana w kapliczce misyjnej.

Jakiż był zawód gorliwego kapłana, gdy nabożeństwo zaczęło się i skończyło, a wczorajszy nawrócony nie zjawił się wcale!

Z wielkim smutkiem po Mszy św. udał się znów do domu, gdzie wczorajszy przepędził wieczór. Otworzyła mu ta sama sługa zmieszana dziś i zapłakana. Przerywanym głosem, zawołała:

— Pan mój umarł dziś w nocy, znaleźliśmy go martwego w łóżku, ani jęknął, leżał spokojnie; mąż mój, któremu rozkazał, aby go wcześnie zbudził, zastał go bez duszy. Nie było lepszego odeń pana!

Ojciec Warren w milczeniu udał się za nią do pokoju, gdzie spoczywał młodzieniec biały jak posąg z marmuru, a z takim wyrazem szczęścia i pokoju na obliczu, że widocznie nie zaznał ani trwogi ani drżenia, gdy Anioł śmierci wezwać go przybył.

— Któż może wiedzieć, czy nie własna matka tego młodzieńca wczoraj mnie do niego sprowadziła? — rzekł sam do siebie wzruszony kapłan. — Matka nawet wśród niebieskiej szczęśliwości o swojem dziecku na ziemi pozostawionem zapomnieć nie jest zdolna.

Na powitanie Bożego Narodzenia

i w 255-tą rocznicę odparcia Szwedów z pod Częstochowy w r. 1655.

Już słońce zgasło; noc się zbliżyła,
Całunem wszystką ziemię okryła —
Na wiotkich skrzydłach święci Anieli
Latają hyżo już od niedzieli
I zapalają gwiazd miliony,
Bo tak rozkazał Pan uwielbiony.
Na stropie niebios światów stokrocie,
Przybrane w jasnych purpurów złocie,
Gdzie ich myśl sięga, myślą zasiana,
Czekają z drżeniem na przyjście Pana.
A z poza góry księżyc grudniowy
Przyświeca Córze Izraelowej...
Jej to broń sieczna na głowę węża,
Który struł jadem rajskiego męża...
Wtem ziemia cała leżąc w uśpieniu,
Budzi się dreszczem, jak w upojeniu,
Przeczuciem miłej, wzniosłej nowiny,
Przyjściem na ziemię Boga—dzieciny.
Już Panna Marya duchem natchnienia
Śpiewa pieśń Panu — hymn uwielbienia;
Dziś się z Niej w nocy Messyasz narodził
I całą ziemię z grzechu odrodził.
Błogosławieni są ci rodzice,
Którzy zrodzili taką Dziewicę;
Od pokolenia do pokolenia
Z Dawidowego słynna imienia.
O Ty, Betlejem, Dawida miasto!
Co Ci narody oddadzą za to,
Żeś Messyasza—króla wydało,
A słowo Jego ciałem się stało?!...
Czemuż nie w tronie w Tobie się rodzi,
Czemuż w ubóstwie na świat przychodzi,
Pałacem Jego szopka pasterza,
A tronem żłóbek ziemskiego zwierza?!...
Lecz Panna Marya w szopki prostocie
Rozweselona więcej niż w złocie;
Od zgiełku świata Syna w niej chowa,
Jak Jej Archanioł Gabryel zwiastował
I jak Elżbieta Ją pozdrowiła,
Gdy Marya w progi ciotki gościła:
„Błogosławionaś wśród niewiastami
I Owoc Twego żywota z nami!“

* * *

Królowo Polska Polskiej Korony!
Błagamy Twojej świętej obrony
Z Tronu Twojego na Jasnej Górze,
O to błagamy Ciebie w pokorze!
A choć zbryzgali Tron Twój zbrodniarze,
Odpuść nam Pani, nie dopuść karze;
Pozostań z nami w imię tej mocy,
Którąś odparła Szwedów w tej Nocy,
W sam dzień Zrodzenia Syna Swojego;
Niech się odrodzim, wybaw od złego!
Jak Szwedzi w on czas poszli w sromocie,
Nie obłowiwszy się w cudzem złocie —
Racz też i dzisiaj przyjść nam z pomocą
I wypędź wrogów Swą świętą mocą;
Prusów, Moskali z naszej krainy,
Niechaj doznamy Twojej przyczyny!
O święta nasza Polska Królowo,
Swoją pomocą przyjdź nam na nowo!

* * *

Dwieście piećdziesiąt latek już mija,
Jak Szwedów starła święta Marya —
Jak ufne do Niej módlmy się dzieci,
Gdy im nadziei iskra zaświeci.
Wszak Ona Matką, Królową naszą,
Orędowniczką, Pociechą Laszą!
Jak Matka płaszczem dzieci odzieje,
Gdy im mróz srozszy z Moskwy zawieje;
I gdy godzina lepsza wybije,
A my pokutą winy swe zmyjem —
O! bądźmyż pewni: wróg nas nie zgładzi,
Bo nas Królowa w bój poprowadzi!
Idźmyż więc tylko w cnych przodków ślady:
U Niej szukajmy pociechy, rady,
Jako Jan Kazmierz w katedrze lwowskiej
U swej Najświętszej Królowej Polskiej.
Jako Sobieski, kiedy szedł w tany
Z Mahometami — łzami zalany

I krzyżem leżąc wypraszał łaski
U stóp Najświętszej Matuchny Pańskiej.
Jako rycerstwo polskie przed bojem
Śpiewajmy zgodnie o bólu swoim.
Siły w Niej krzepmy wiarą miłością,
Nadzieją ludzi, dzieci ufnością.
I matka w niebie cieszyć się będzie,
Gdy wszystkich synów miłość posiędzie,
Ona ich płaszczem swoim osłoni
I wydobędzie z nieszczęsnej toni.
Jak niegdyś Polskę hen z Jasnej Góry
Z topieli Szweda rozwiała chmury —
I dziś nam także słońce zaświeci
Najświętsza Matka, bośmy Jej dzieci,
Cudem nas tarczą swoją obroni,
Od kul, kartaczy szatą zasłoni,
Jak ongi Tron Swój na Jasnej Górze
Przez skromnych mnichów w mniszym kapturze!

W Chrząstowie, w grudniu 1910.

Adam Jesionek, nauczyciel.

Pod rozwagę.

„Gazeta grudziądzka“, wychodząca pod panowaniem Prusaka, donosi, że ma 100 tysiecy prenumeratorów — „Praca“, wychodząca w Poznaniu, ma 40 tysięcy, inne, a jest ich ogromnie wiele, mają mało mniej. W Poznańskiem Polaków jest mniej, niż w Galicyi. W Poznańskiem gazet polskich jest kilka razy więcej niż w Galicyi a do tego mają po kilka razy wiecej prenumeratorów niż gazety nasze. A skutkiem jest to, że w Poznańskiem oświata stoi górą, że Polacy nie dają się Prusakom, a nawet zwyciężają ich, jak niedawno przy wyborach do Rady miejskiej w Poznaniu. A dalej gospodarka Braci naszych w Poznańskiem doskonale się rozwija, zamożność rośnie, a ludzie nie potrzebują takimi masami, jak od nas, emigrować za lasy, za rzeki, za morza za zarobkiem.

Dzieje się to z dwóch przyczyn: 1) Chłopi polscy w Poznańskiem łączą się w spółki i razem pracują, a po 2) czytają wiele pożytecznych gazet i rad ich dobrych w swojem postępowaniu słuchają — a przytem patrząc na Niemców uczą się od nich.

W Poznańskiem chyba niema takiego gospodarza, któryby nie miał gazety, a wielu, bardzo wielu trzymają po 3 i 4 gazety: jedną rolniczą, drugą spółkową, trzecią religijną a czwartą polityczną. Wielu kupuje już i gazety, wychodzące codziennie.

Liczba kupujących gazety rośnie zwłaszcza w zimie, późną jesienią i na wiosnę. Wtedy w południe lub wieczorami gospodarz w gronie swojej rodziny i służby bierze w rękę gazetę, głośno czyta i tłumaczy mniej zrozumiałe. Z tego korzyć odnoszą wszyscy, a szkodę chyba Niemcy i Żydzi, siedzący po karczmach, bo te pustką stoją.

Chłopi poznańscy poznali już wartość gazet, choć droższe są, niż u nas, i nie żałują grosza na ich zakupno. To też dobrze im się powodzi.

U nas pod Austryakiem jest pod każdym względem inaczej. Ludzie nie umieją czasu wykorzystać, chłopcy zimą najczęściej bąki zbijają i buty drą po zaspach, rzekach i przekopach — karczmy przepełnione, w domach nędza, — więc też i gazetka jest rzadkim gościem w domu.

A szkoda, bo gazeta to dobry i wierny przyjaciel i mieć ją w domu zawsze potrzeba.

. . . .

Pamiętajcie więc, Przyjaciele, o wiernym towarzyszu i doradcy — nie krzywdźcie go z zaleganiem przedpłaty, a pamiętajcie, że i rok 1911 na karku. Zjednajcie nam i nowych czytelników, a wtedy wszyscy razem wytworzymy siłę!

Pamiętajcie, aby do budżetu gminnego wstawiono 4 Korony jako prenumeratę na „Ojczyznę“.

To był sen tylko...

W małej suterynie, dokąd nigdy nie zaglądało wesołe słońce, gdyż okienko jedyne było zasłonięte stojącą naprzeciw kamienicą, młoda kobieta, pomimo spóźnionej już pory, była zajęta praniem bielizny. Stos jej nie mały piętrzył się koło balji, z której buchała kłębami para. Kobieta była zmęczona, i coraz częściej ręce jej odmawiały posłuszeństwa, twarz zaś wychudłą i spoconą bladość pokrywała. Wyprostowywała się jednak, z wysiłkiem podnosiła głowę, i zwracała oczy ku ciemnemu kątowi, gdzie na nędznem łóżeczku, pod obrazem Matki Boskiej Ostrobramskiej, spały dwie blade dzieciny. Spały smaczno — uśmiechając się do jakichś marzeń.

O czem śniły te młode główki — trudno powiedzieć. Być może, że o mleku i strawie ciepłej, której już od tygodnia nie widziały, może o chlecie białym, który niegdyś, bardzo dawno, w święta uroczyste znajdował się zazwyczaj na stole, wraz z masłem i kawałkiem wędliny lub kiełbasy, może wreszcie o złotych i srebrnych orzeszkach włoskich, jakie widziały u straganiarek ulicznych... Może...

Twarzyczki ich, choć blade, wyrażały zadowolenie, wątłe piersi poruszały się równo.

Napieściwszy wzrok swój widokiem drogich istot, kobieta spojrzała znowu ze wstrętem na stos brudnej bielizny, raz jeszcze na dzieci i zgięła się znowu nad balją. Chciała koniecznie pracy dokończyć, lecz sił już nie miała, ręce odmówiły jej ostatecznie posłuszeństwa, opadły bezsilnie,

owładnęło nią straszne znużenie, w oczach pociemniało. Nie czuła nawet, jak osunęła się na zydel, z zydla zaś na mokrą i brudną podłogę.

Zasnęła.

. . . .

I oto słyszy — że ktoś do drzwi puka. Drzwi się otwierają. W progu staje mężczyzna pięknie ubrany, uchyla czapki i pyta:

— Czy tu mieszka praczka Gorzelska?

Lecz nie czeka na odpowiedź — zbliża się do niej — rękę jej bierze i mówi — ach, takim miłym, łagodnym głosem mówi:

— Czy pani mnie nie poznaje?

I całuje jej rękę. Ona zdziwiona patrzy mu w oczy.

— Pan Antoni! — szepce i czuje, że oblewa ją rumieniec.

— Tak, to ja. — I milczą przez chwilę — oboje zakłopotani.

— Niech pan usiądzie... Proszę wybaczyć, że u mnie taki nieład...

— Ależ, pani Maryo, proszę o tem nie myśleć... Oddawna chciałem przyjść...

Urywa — jakby się namyślał — a w niej budzi się wielka radość — wielka wdzięczność dla niego, że chciał przyjść — że oto przysedł — oto jest z nią...

On usiadł i mówi:

— Dziatki pani śpią. Będziemy więc rozmawiali ciszej. Tylko ośm lat, jakeśmy się rozstali, zdaje się zaś, że wiek, co najmniej minął. Tak, wiek, co najmniej.. Pamiętasz, pani Maryo, ten ponury, wilgotny dzień, gdyś mnie żegnała, udającego się w obce kraje? Pamiętasz? Więc było to tylko ośm lat temu... A jakież odtąd zaszły zmiany, jakież zmiany!...

Namyśla się. Milknie. I przeszłość staje im obojgu przed oczami.

Tak! wielkie zmiany zaszły w ciągu lat tych ośmiu... Gdy Antoni wyjeżdżał do Ameryki w pogoni za groszem, ona była jeszcze dziewczyną, mieszkała u rodziców, na wsi. Kochali się, mieli się pobrać. Lecz, że oboje byli biedni, więc on postanowił najprzód udać się za ocean, zarobić tam trochę grosza, by módz potem pędzić życie dostatnio i szczęśliwie.

Pojechał. Minął rok. Od niego nie było żadnej wiadomości. Rodzice zmusili ją wyjść za mąż za drugiego, z miasta. Opierała się temu długo. Wreszcie uległa. Z mężem przeniosła się do wielkiego miasta. Tu przyszli na świat Janek i Boleś. Ale nagle mąż zachorował i umarł. Została wdową.

Zaczęła się nędza. Pracowała usilnie, lecz nie mogła na rodzinę zarobić. Klepie biedę... Ledwie starczy na czarny, suchy chleba kawałek.

— Wielkie zmiany — szepce znów Antoni. Pani za mąż wyszłaś... Nie doczekałaś się powrotu mojego...

— Jam niewinna... Mnie rodzice zmusili! — mówi ona.

— Wiem, pani Maryo! Dowiedziałem się o tem, będąc jeszcze w Ameryce. Sądziłem, że tego nie przeżyję... Chodziłem jak struty. Nie mogłem pracować. Z rozpaczy opuściłem ręce! Tyś, coś była mi bodźcem, której wspomnienie krzepiło mię i dodawało odwagi. — Ty już moją nie będziesz. Ach! co ja wtedy przecierpiałem.

Urywa — i patrzy na nią temi dobremi, kochanemi oczami.

— Lecz Bóg nie opuścił! — ciągnie dalej. Powoli minęła rozpacz. W pracy, w usilnej zapamiętałej pracy szukałem pociechy i zapomnienia. Interesa moje poszły pomyślnie. Minęło kilka lat, miałem już spory kapitalik uciułany... Tęsknota za krajem, za tymi naszymi łanami zbożowymi, za wiejskim naszym kościółkiem, za swoimi, która i przedtem mię prześladowała ciągle, spać nie dawała, spotęgowała się teraz do tego stopnia, że już nie miałem całkiem spokoju. Chciałem wracać... Lecz powstrzymała mię jeszcze myśl: Do kogo i po co pojedziesz tam, — wszak Marya już nie twoja...

— Boże! — szepce ona. — Co ja zrobiłam! Co ja zrobiłam! Skrzywdziłam ciebie.

Łzy obfite z oczu płyną. — Serce się ściska boleśnie... boleśnie...

— Z mojej winy! — powtarza, kryjąc twarz w dłonie.

Nastaje chwila ciszy. W tem czuje ona na sobie ramiona jego. Przyciąga ją do siebie i zmęczoną jej głowę kładzie na swe piersi. I zdaje się jej, że niebo się przed nią otwiera.

— Czy zasłużyłam na przebaczenie — mówi ona tuląc się do niego. Ach! jakiś ty dobry... Taki sam, jak byłeś... Jakiś ty dobry!...

— Kochasz mnie, Maniu? Kochasz mnie, jak dawniej?...

— Tak, jak dawniej? Nie, jeszcze więcej. Kocham cię stale, we śnie cię widywałam.,. o tobie wciąż marzyłam, wciąż, wciąż...

— A teraz, gdy wróciłem... nie rozstaniemy się już nigdy. Prawda?

— Tak, Antosiu, tak!

— Dziś, zaraz wyjedziemy z miasta na wieś, do mnie...

Uszom własnym nie wierzy.

— Do ciebie?

— Kupiłem kawał ziemi i on nas wyżywi, on nam zginąć nie da. Nie zaznasz już nędzy i dzieci zdrowo się wyhodują. Będziemy oboje pracowali, gdyż praca jest wszystkiem. Zgoda, Maniu?

— Zgoda! Zgoda!

Zarzuca mu ramiona na szyję, on ją mocno do serca przygarnia. Och! szczęście!... szczęście! Wieś pełna wspomnień, własna chatka, czysta i biała. Słonko złote nad głowami, zieleń, kwiaty, krzewy... I on ukochany — na zawsze z nią —

na zawsze... Mocniej tuli się do niego, ciaśniej mu szyję ramionami oplata... Coś mu jeszcze chce powiedzieć... I...

. . . .

Obudził ją nagły płacz. Zerwała się. Oprzytomniała. Z ciemnego kąta suteryny szło żałosne wołanie:

Mamo! Jeść!
Mamo! Jeść!
A tamto? — znikło — rozwiało się — przepadło,
Ach! To był sen tylko...

Leon Mikiewicz.

Jeśli wyrzekniesz się swojego polskiego narodu — przeklną cię twoi przodkowie — a dzieci kiedyś pogardzać będą tobą!

†

Henryk Szuman.

Najstarszy, a bardzo zasłużony działacz narodowy i poseł polski, umarł w sobotę w Poznańskiem. Bracia nasi pod Prusakiem stracili w ś. p. Szumanie tęgiego pracownika i wiernego, ofiarnego przyjaciela.

Już od wczesnej młodości zaprzągnął się do pracy narodowej.

W r. 1848, gdy niemal w całej Europie strącano cesarzy i królów z tronów, a ludy zyskiwały i walczyły o ludzkie, konstytucyjne prawa, gdy we Francyi, w Niemczech, Włoszech, Węgrzech, ba nawet w Austryi: we Wiedniu, we Lwowie i Krakowie rozlegały się strzały armatnie i karabinowe — młody Henryk Szuman nie pozostał bezczynnym.

Chodził on wtedy jako akademik na uniwersytet w Berlinie. Były to i w Berlinie, stolicy Prus, czasy gorące. Hasło: „dajcie nam równe prawa“ — ogarnęło i Niemców. Szuman staje na czele legii polskich akademików i walczy o konstytucyę.

Niedługo wybucha powstanie polskie przeciw Prusakom — Szuman, rzuca Berlin i szkoły, idzie do powstania. Niedługo potem wpada w ręce pruskie. Niemcy biją go bardzo dotkliwie i odstawiają do więzienia w Kistrzyniu.

Nie stłumiło to gorących uczuć Henryka. Odsiedziawszy więzienie wrócił w Poznańskie i jął się pracy narodowej. Już w r. 1763 zostaje posłem do sejmu pruskiego. Odtąd przez 47 lat bezustanku stoi na posterunku, zrazu jako zwykły poseł, potem jako wiceprezes, a w końcu i prezes Koła polskiego w Sejmie pruskim.

Stać przez 47 lat bez przerwy w ogniu walki — na to trzeba nie lada sił i nie lada hartu ducha, aby pod ciosami pruskich uderzeń i ustaw nie zachwiać się i nie ustąpić.

Ś. p. Szuman nie zachwiał się ani razu. A widział i przeżył wiele. Gdy w r. 1886 rząd pruski przedłożył sejmowi projekt ustawy, aby założyć Komisyę kolonizacyjną pruską i aby dać jej 100 milionów marek na wykupno polskiej ziemi, ś. p. Szuman był wtedy prezesem Koła. Gdy obrady nad tą ustawą skończono, zabrał głos i głęboko wzruszony i oburzony oświadczył:

„W tej walce barbarzyńskiej, jaką nam wydajecie, wytrwamy aż do końca“.

I nie ugiął się — choć mu pracy przybywało, bo został i posłem do Parlamentu, choć rząd po tym wniosku przyszedł i z dalszymi, przeciw mowie polskiej, ziemi, zgromadzeniom, stowarzyszeniom wymierzonymi.

I widział ś. p. Henryk Szuman, jak te wszystkie ciosy pruskie odbijały się od polskiej piersi, nie łamiąc jej. Widział, że dusza polskiego ludu, jak stal hartowna i nieugięta, nie da się złamać, lecz wytrwa i zwycięży...

Widział, że poszli do grobu ci, co najwięcej nas prześladowali: Bismarck, Hanneman, Tiedemann.

I wierzył do końca w siły i przyszłość polskiego Narodu.

Mijały lata i lat dziesiątki — przyszła też starość i na Szumana. Przeżył 89 lat — siły opuszczać go zaczęły. Powiedział więc sobie kilka miesięcy temu: już dość, trza ustąpić młodszym. I złożył mandat poselski — a w liście, wystosowanym do Centralnego Polskiego Komitetu wyborczego, podziękował serdecznie za tyle lat zaufania i przyjaźni.

We czwartek właśnie wybrano jego następcę. Został nim adwokat Wojciech Trąbczyński, człowiek zdolny i zasłużony.

Niedługo spoczywał w zaciszu rodzinnem po tylu latach pracy ś. p. Szuman. Powołał go Stwórca do siebie — w dwa dni po wyborze jego następcy.

Cześć Jego zacnej pamięci, w długie, długie lata.

W sprawie przeprowadzenia spisu ludności.

Rozporządzenie ministra spraw wewnętrznych Hertla z 3 grudnia 1910 L. 46.486, do wszystkich namiestników.

Wartość, jaka wynika z wiernego z prawdą i sprawiedliwego zbadania stosunków ludności, daje mi powód, że wracam jeszcze do wydanych już zarządzeń i ponownie wskazuję na to, że wyniki spisu ludności we wielu względach mają stworzyć podstawę dla rozwoju i dalszego ukształtowania się ważnych urządzeń w życiu publicznem.

W tym kierunku wchodzi w rachubę — aby z wielkiego kompleksu momentów, mających być zbadanych, poruszyć tylko niektóre — szczególnie statystyka zatrudnienia, prawa stosunków zawodowych, dalej zbadanie stosunków mieszkaniowych, wreszcie sprawa języka towarzyskiego.

Spodziewam się, że wszystkie organy powo-

łane do współpracy przy spisie ludności, będą miały przed oczyma ważność spisu ludności — i kierowane usiłowaniem, aby według sił przyczynić się do zgodnego z prawdą stwierdzenia rzeczywistych stosunków — wypełnią powierzone im zadanie z bezwarunkową sprawiedliwością i z największą bezstronnośeią.

Zanim jednak przyjdzie do rozpoczęcia zamierzonej pracy, nie chciałbym pominąć tej sposobności, aby położyć nacisk na niektóre momenty, które mem zdaniem są miarodajne dla osiągnięcia bezwarunkowej dokładności i sprawiedliwości, do czego ma się zdążać.

Przedewszystkiem chodzi tu najpierw o jak najstaranniejszy wybór komisarzy spisowych. Im to w największej części jest powierzony bezpośredni spis, bo przeprowadzenie zapomocą arkuszów spisowych jest regułą, przeprowadzenie zaś przy pomocy kart oznajmienia tworzy wyjątek. Dla ich więc czynności — jak już zwracałem na to uwagę w mojem rozporządzeniu z dnia 22 sierpnia 1910, L. 33.322 — najnieodzowniejszym warunkiem jest zupełna bezstronność. Tylko pod tym warunkiem, jeżeli już przy wyborze komisarzy spisowych będzie się zwracało jak najstaranniejszą uwagę, będzie można liczyć na dostateczną pewność, że te organy będą wypełniały swe funkcye urzędowe bez zupełnego uprzedzenia, a w tym wypadku władza państwowa nie będzie chyba zmuszona, w razie złamania bezstronności zwolnić te organy z ich funkcyi, a w razie potrzeby użyć administracyjnej, względnie sądowej kary.

Komisarzom spisowym ma się rozdać na wstępie ich czynności dokładne instrukcye, przyczem ma się ich przedewszystkiem pouczyć o wypełnianiu arkusza spisowego (część 17), aby nie dopuszczali się wprowadzania w błąd przez stosowne stawianie pytań, jakoteż by nie wpływali na odpowiedzi na zadane pytania. Powinno się także pouczyć komisarzy spisowych, gdzieby tego zachodziła potrzeba, by przypomnieli stronom w interesie sprawy i w ich własnym interesie na obowiązek podawania czystej prawdy i wskazali na skutki, jakie może pociągnąć za sobą w myśl § 30 przepisu dla spisu ludności fałszywe zeznanie.

Dalszym momentem, który będzie miał szczególne znaczenie przy przeprowadzeniu spisu ludności, będą owe rozległe żądania, jakie będzie musiało się stawiać współpracownictwu przełożeństw gminnych i przy tej pracy administracyjnej. Sądzę, że mogę mieć tę pewność, że funkcyonaryusze gminni przy wykonywaniu swych zadań zachowają jak największą objektywność; oczekiwanie to nie opiera się tylko na ważności wchodzących tutaj w grę czynności administracyjnych, lecz także na zamiłowaniu porządku autonomicznych organów administracyjnych i na ich zrozumieniu ważności przedmiotu i nie potrzeba chyba wskazywać na skutki przeciwnego zachowania się i na owe materyalne następstwa, jakieby z tego mogły powstać dla gmin w myśl postanowień przepisu o spisie ludności.

Upraszam przeto wysokie władze, by w duchu przytoczonych uwag wydały stosowne wskazówki politycznym władzom tamtejszego okręgu administracyjnego i by ponownie wskazały wszystkim organom, powołanym do współpracy przy spisie ludności, na jak najsurowszy obowiązek trzymania się największej bezstronności przy wykonywaniu swych zadań. W interesie całej administracyi musi zamierzona praca prowadzić do wyniku, który — jako odpowiadający rzeczywistym stosunkom — zasługuje i cieszy się powszechnem zaufaniem.

Minister spraw wewnętrznych, najwyższy przełożony namiestnika i starostów, Hertl, wydał surowe polecenie, aby spis był bezstronny i sprawiedliwy. Mimo to Rusini czyhają dalej na polskie dusze — więc trzeba ich pilnować.

STEFANIA TUCHOŁKOWA.

KACHNA.

(Pisane gwarą ludową).

Było to świtaniem rychtyk na zawiesne, którna chodziła se po polach, po rozłogach i miedzach, we słońcu cała jakoby cała wielga pani we złocie. A gdzie ino stąpiła, tam ci zaro szare rozłogi zielenić się zaczynały, na łąkach i ogrodach kwiatuszki nieśmiało główki swe wychylały, a zwiesna się jeno uśmiechała i szła dalej i dalej, wskroś świata, budzić do życia uśpione pola.

A w tem różowem świtaniu poranku Kachna, sama różowa jako ten świt porankowy, stała przed rozbitem, wiszącem naprzeciw okna na ścianie lusterkiem i kosy sobie powolutku splatała.

— A spiesz się tam ino, Kachna, zawołali na nią matula. Kiej już masz iść, to ano trza iść wnetki, bo wielachny kawał do miasta.

Kachna westchnęła, bo słowa matuli przywiodły jej to żywo przed oczy, że dyć dzisiaj opuścić ma swego ojca i matule i ze wsi rodzinnej iść precz, kajś w świat do miasta na służbę i nie wiada, co ją tam czeka.

Aleć sama tego pragnęła. — Od czasu, jak raz ociec zabrał ją ze sobą do miasta, gdzie miał termin w sądzie, gdy zobaczyła panie postrojone w hatłasy i niedwabie, w kapeluszach jakoby z żywemi kwiatami i ptakami, od tego czasu myślała o tem ino, aby się po miejsku przebrać.

Doma matka bych na to nie pozwoliła i wciąż harować Kachnie kazała, a w mieście to ludzie cheba nic nie robią, (tak się Kachnie mylnie wydawało) ino se postrojone po ulicach chodzą,

a zabawy używają. A i służba musi być w mieście letka, bo to ani gadziny nie trzymają, nie potrza wstawać do dnia do doju, roboty w polu nie ma; a jak się dzieucha z domową robotą uwinie, to może się ubrać kiejby jaka jaśnie pani i se spacerować, lub iść kajś na muzykę.

I tak się odtąd Kachna do miasta napierała, że ociec i matka choć temu z początku niechętliwi, przyzwolili na to nareszcie, że się Kachna zgodziła na służbę do miasta.

Ale tero jednak na myśl, że trza rodzonych i chatę opuścić, to jakby ją cosik za grdykę ułapiło i łzy jej spłynęły po jagodach. Obtarła je jednak palicem i kosy prędko splatać skończyła.

A tu już i matula postawiła przed nią na stole miskę zacierek na mleku i kromkę chleba.

— Pojedz se, córuchno na drogę, rzekła

Kachna zasiadła przy swoich rodzicach i we troje zabrali się raźno do ciepłej warzy; lecz, że ich wszystkich markotność rozpierała przed rozstaniem, chlipali przytem z cicha i łzy im zwolna na miskę spływały. Nie psuło im to jednak hapetytu, przeciwnie kiejby łzy stały im za omastę, jedli łapczywiej i wnetki się ze zacierkami uwinęli.

Poczem Kachna w tobołek pręciusieńko swoje rzeczy spakowała. Niewiela tego było; jedna kiecka od święta, parę fartuchów płóciennych i jeden niedwabny, para trzewików i dwie koszule i ot wszystko; lecz po co jej więcej, kiej się i tak przebrać z pańska chciała.

Ociec musiał już tero iść do roboty, więc Kachna przódzi z nim się pożegnała, a potem matkę za kolana obłapiła.

— Ostańta matulu z Bogiem, mówiła, całując matkę po rękach i szlochając.

— No, cichoj, cichoj, córuchna, uspakajała ją matka, już nie bucz. Jak będzie ci tam źle, to wrócisz do nas, doma.

I odprowadzę cię ano tero krzynę drogi.

Wyszły obie z chałupy i szły drogą wioskową. — Nad łąkami kolebały się jeszcze mgły poranne, jakoby Boże niewidzialne ręce z jakowejś wielgiej kadzielnicy wiały, aż zwolna słońce mgły rozproszyło i rozgorzało na niebie, kiejby ktosik wielgachnego ognia tam na obłokach naniecił.

Dzionek wstał cudny, jako ta dzieucha, którna drogą z matulą szła, a popłakiwała i taki jasny, kiej złociste kosy dzieuchy. Stojąca na skraju drogi wioskowej figura św. Józefa, którny trzymał lelije w ręku, była całusieńka oblana blaskiem.

Pod tą figurą przystanęły niewiasty.

— No, żegnaj mi córuchno, rzekła matula do Kachny i bądź zawdy takoj czysta i niewinna, jako te lelije, co je święty nad nami w rękach trzyma. A pamiętaj o Bogu i żyj po bożemu.

Raz jeszcze padły sobie w objęcia, poczem Kachna bez moc prawa się wyrwała i poczęła iść dalej, lecz co parę kroków obracała się za siebie.

Stara matka stała ciągiem jeszczyk pod figurą i patrzała za swą córuchną.

Ostań, ostań, wołało cosik za Kachną. — I serce ciągnęło ją z powrotem tam ku wiosce, ku polom zieleniejącym, ku cichym chatom i ku tej świętej figurze, co na rozstaju drogi stała przed wioską, kieby na straży ode złego.

Kilka jaskółek ulatywało właśnie nad głową Kachny, a świegotały, świegotały, aże się rozlegało, jakby na nią wołały: Nie odchódź, dzieucho, nie odchódź.

Wiaterek ci se letki, a miły powionął, a drzewa i one zielne kiełki na roli cosik se mamrotały, a słaniały się przed Kachną. Ostań, ostań, dzieucho, szemrały.

Miętko zrobiło się Kasi koło serca. — Obejrzała się poza siebie.

Juże matuli na skręcie drogi widno nie było, ino kajś nie kajś widne były czuby drzew i dachy chałup. Kachnie zrobiło się matyjaśnie i przystanęła. — Cheba wrócę, pomyślała. — Hale, dopiroby to baby we wsi jazgotały, a przekpiwały, że tak sie do miasta napierała, a już z drogi nawróciła. I też, choć ją cosik nazad ciągnęło, w głębi duszy kuntenta była, że się kieby wielgochna pani po miejsku ubierać będzie mogła, może się i jakiemu wielgiemu panu spodoba, którny ją weźmie za kobitę. Czemużby nie? Hale, tyla się gadek przeciek o królewiczach nasłuchała, co to się nawet z pasterkami pożenili. Czemużby i ona, taka urodziwa, kiej jaka królewna, nie mogła wyńść za jakiego pana. A zawdyk pono dobrze na świecie wielgachnym paniom, tak sobie sumowała.

Więc ino raz jeszcze żałośnie sobie westchnęła i już dłużej nie stojała.

A niechta byńdzie, co chce, rzekła sama do się, tyle pońdę we świat,

I kieby przycknęła, ruszyła raźno dalej.

A przed nią i za nią chwiały się trawy i ziela, jakoby zagony całe się poruszyły, a wołały: ostań Kachna, ostań.

I skowronuszki i jaskółeczki coraz bardziej ćwierkały: ostań, ostań.

Ale Kachna juże na to nie baczyła i już ani razu nie przystojała, ino szła w ten ranek zwieśniowy, co chwytał ją za serce oną jasnością słoneczną i onym śpiewem ptaszęcym i oną sielną wonią, co się niesła od łąk i pól.

II.

Minął ci rok bez mała. Zwiesna ci znowuk była, ale (było to wrychlej, niż łońskiego roku) jeszczyk w ziela nie przybrana i skowronkowem śpiewaniem nie rozśpiewana, a szara ziemia jakoby dopiero ze śpiku zimowego przecykała.

Miało się podwieczerz; dzień był słotny, od samego rana juże przepadywało. Chmury przewalały się po niebie, kiejby się deszczem poiły, a wiejba taka ci była, że aże kiecki Kachnie pod-

wijała, a ciskała nią kiej piłką. — I słychać było jakoweś głosy, któme jęczały we wietrze, a w jenszą chwilę, to jakoby płacz markotliwy. Drzewa były jeszcze nagie i wywijały groźnie nad idącą Kachną swemi poczerniałemi, nagiemi konarami. Smutek jakowyś wielgachny chodził se po tych polach rozmiękłych, po szarych rozłogach, przystał na rozdrożach i wiał żałosną tęsknością za oną jasnością słoneczną.

A Kachna szła, ale bez tobołka, a co trochę uszła, to przystanęła i galantą chwilę stojała, bo aże ją cosik w dołku parło i wielgie, ciemne plamy skakeły jej przeciech przed oczyma i drżała jak we frybrze, bo ziąb ją przejmował.

I ledwie się wlekła, postękując z cicha, bo krzyże ją ano bolały i wszyćkie gnaty. Nie była już to sielna i galanta dzieucha, co roku łońskiego, łoj nie. — Gembusia jej pobladła i wychudła, oczy w głąb kajś wciśnięte i jakby zagasłe.

A i przyodziewek był ci na niej ladajaki. Kieckę miała na sobie nibyto z miejska skrojoną, lecz tak wyszarzałą i podniszczoną, że kiej zgrzebna płachta wisiała na niej. Na głowie podartą miała ino chuścinę i bose kulasy. Ciche wzdychy wyrywały się jej co chwila z piersi. Każda żyłka, każda kosteczka dygotała w niej z osobna od owych wypłakanych i niewypłakanych łez z żałości nad owem srogiem poczuciem swego nieszczęścia i krzywdy i poniżenia i sromu.

Aże się pod tą żałością ku ziemi ugiena. Jej przewina i jej sromota wydały się jej tak wielgachne, jako calusieńki świat i tak jej też ciężyły, jakoby na sobie cały wielgachny świat dźwigała.

Jako ta ptaszyna, co wypada rozbita na ziemię, z własnego wylatując gniazda, takoj ci i Kachna czuła się rozbita i obolała.

Jaka kuntentna łońskiego roku była, że już e na wsi harować potrzebowała nie będzie, ino się w mieście po pańsku ustroi, a spacerować se będzie i na muzykę chodzić, aż ci ją sobie jaki wielgi pan upodoba i z nią się ożyni. A co z tego wszyćkiego się stało? — Jużci upodobał ją sobie krewniak samych państwa, któren do nich na kilka tygodni w odwiedziny przyjechał, a w oczy jej zaglądał, a słodko się uśmiechał, a karmelki jej kupował, a żynić się obiecował.

Kachna przebrała się po miejsku, ale choć całe swe zasługi na przyobleczenie miejskie wydała, to ciągiem jeszcze czegosik brakło. To trzewiki nie były takie, jak insze nosiły, a to jeszcze kapelusza, a to parosolki było potrza, aby całkiem wyglądać jako pani.

Ale panicz wszystko, czego jeno było potrza, pokupował i tak ją sobie niewolił prezentami, a słodkiem patrzeniem, a uśmiechami i na tańce prowadzał, przy których tak ci ją sielnie do siecie tulił, że aże sobie rady nie wiedziała. A był ci chłopak smukły jako dąb, a ognisty kiej smok, aże skry chodziły Kachnie po ciele, gdy na nią wejrzał, lub przycisnął do siebie.

A kiej raz bez dzień cały, gdy z państwem gdziesik z wizytą pojechał, go nie widziała, to aże ztęskności przymierała i cały dzień Kachna ni warzy jeść, ni nocą śpiku znaleźć nie mogła.

Aż i stało się, co się nigdy stać nie było powinno, a odstać się już nie mogło. Kachna zapomniała nawet o Bogu i o swym wstydzie dziewiczym. — A tak jej wtedyk matula przykazywali, coby niewinną została, jako te lelije, co je wówczas święty we figurze na rękach trzymał, a ona taką to ostała!

Pojechał potem ten umiłowany, poza którnym o całym świecie zapomniała, gdziesik we świat, pono do Hameryki i już się więcej nie pokazał.

Państwo Kachny miarkowali pono coś niecoś, ale tem barzej jeszczyk w nią, jak we wołu, orali, (w mieście służba wcale taką letką nie była, jak sobie Kachna przódzi myślała). A kiej bliżej było rodów, to wygnali ją, jako tego psa, choć im do nóg jak długa rymnęła, a o zlitowanie skamlała.

Zeszło jej potem na taką marnacyą, na takie biedowanie, że już myślała, że cheba nie poredzi ino z biedy zamrze, a do domu ze wstydu i ze strachu wracać się wagowała.

I wszyćkie swoje łachy powyprzedawać musiała, aże jej nic nie zostało krom jednej podniszczonej kiecki i chusty dziurawej.

Z litości ci ją przygarnęli w przytułku, gdzie długo przy rodach chorzała. Dzieciątko nieboże pomarło wnetki po chrzcie świętym, w onej łaski pańskiej godzinie; — przynajmniej biedować nie będzie chudziątko. Kachna zaś zesłabiona, wymizerowana, zbiedzona, jak ta ptaszyna, co wylatując z gniazda, ozbita upadła, takoj Kachna do swoich rodzonych doma się wlekła, bo jużci musiała, bo czuła, że dłużej sobie sama nie poredzi.

I dobrze jeszcze, że miała na świecie takich, którni się od jej sromoty, od jej biedy nie odwrócą pewnikiem, ino litośnie do siebie przytulą, bo tak, cóżby poczena?

Oj! było mi pańskich strojów nie kupać, oj! było mi na muzyki nie chodzić i o Bogu nie zapominać, oj! było mi wsi rodzinnej nie rzucać, wzdychała, a serce aże w niej ze żałośliwości truchlało, gdy rodzicielów domu próg nieśmiało przestępowała.

Skoroś Polak — mów po polsku!

Leon Biliński.

O Bilińskim mówiło się w ostatnich latach wiele. — Nic dziwnego. Przez 30 lat zajmował w kraju i w państwie wybitne stanowiska, miał wiele sposobności do robienia dużo dobrego

i złego — to też ludzie zwalczali go lub popierali, nienawidzili lub lubili, a zależało to od wielu okoliczności.

Dziś, gdy pan Biliński kończy swoją działalność, idzie na stałą, bezpowrotną pensyę, przypomnieć trzeba, młodszym zwłaszcza, jego dzieje i jego życie.

Ma lat 67. Urodził się w Zaleszczykach — po ukończeniu nauk we Lwowie, wstąpił do namiestnictwa jako praktykant konceptowy, a równocześnie starał się o katedrę nauki ekonomii na lwowskim Uniwersytecie. Wkrótce zostaje też profesorem nadzwyczajnym, a potem i zwyczajnym tegoż Uniwersytetu.

Jest to bodaj najlepsza chwila w życiu Bilińskiego. Jako profesor kształci młodych akademików, broni polskości Uniwersytetu, pisze naukowe książki. W tym czasie spotyka się z młodszym o 20 lat od siebie, profesorem dr. Stanisławem Głąbińskim, dzisiejszym prezesem Koła polskiego, i obaj piszą wspólnie książkę: „Podręcznik do nauki ekonomii“.

W tym też czasie profesor Biliński wchodzi do lwowskiej Rady miejskiej, a na Uniwersytecie zostaje dziekanem, a potem i Rektorem (przełożonym).

Zostaje też w roku 1889 posłem do Sejmu. Niedługo potem przenosi się do Wiednia, jako szef sekcyi w ministerstwie handlu, jako generalny dyrektor kolei, a w r. 1895 jako minister skarbu.

Do kraju już nie wraca. Zasiedział się w Wiedniu. Dopóki nie wywietrzało z niego galicyjskie powietrze, pamiętał o swoich i dla Galicyi robił dosyć wiele. Nawet jako minister skarbu, 15 lat temu, nie zamykał szczelnie worka austryackiego i choć czasem dał coś na potrzeby Galicyi.

Ale ministerstwo skarbu wnet mu się z rąk wymknęło, przyszli inni — a pan Biliński dostał na osłodę ministerską pensyę i został mianowany członkiem Izby panów.

Niedługo potem opróżniła się posada naczelnika największego w państwie Banku, Banku austryacko-węgierskiego. Dostał ją, a wraz z nią i tytuł gubernatora Banku, exminister Biliński.

Siedział na tej posadzie lat 8, na 5 lat mianowany przez rząd austryacki, na dalsze 5 przez rząd węgierski.

Bank austryacko-węgierski ma na stosunki handlowe, gospodarcze, kredytowe wpływ ogromny: obraca miliardami. Biliński więc jako głowa tego Banku mógł wiele dobrego dla Galicyi zrobić. Ale zapomniał już o nas — więcej zależało mu na dobrej minie rządu austryackiego i węgierskiego, niż na cichych żalach jego rodaków.

Zdawało się, że karyera jego skończy się już na tem gubernatorstwie Banku. Tymczasem w r. 1907 przy pierwszych powszechnych wyborach do Parlamentu, pan Biliński, już 64-letni starzec, zapragnął zostać posłem i zgłosił swoją kandydaturę w Rzeszowie i Sędziszowie. Wybory przyniosły mu zwycięstwo — a p. Biliński, nie opuszczając bynajmniej tłustej posady, zaczął pilnować posiedzeń Parlamentu i Koła polskiego.

W początkach 1909. baron Binert układał listę swoich ministrów. Ku wielkiemu zdziwieniu Polaków — na tej liście znalazł się p. Biliński jako minister skarbu. Koło polskie zrobiło o to awanturę ministrowi dla Galicyi, Abrahamowiczowi, że wczas nie uwiadomił o tem prezydyum Koła, ale było już zapóźno. Biliński został po raz drugi ministrem skarbu.

Chcąc sobie zjednać zagniewane Koło polskie, nowy minister Biliński zaprzysiągł Kołu wierność i posłuszeństwo. Przedstawiciele Koła uwierzyli jego przysięgom.

Początek był wcale niezły. Był to czas, kiedy w skarbie austryackim były pustki, a do tego poszczególne kraje, wśród nich i Galicya, głośno domagały się pomocy państwa dla uregulowania finansów krajowych. Projekt poprawy, jaki w r. 1908 wypracował jako minister skarbu, Witold Korytowski, był dla Niemców i Czechów korzystny, ale dla Galicyi wprost oszukańczy. I ten projekt upadł. Pan Biliński więc wypracował projekt inny, znacznie sprawiedliwszy, przedewszystkiem dla tego, że chciał opodatkować nietylko wódkę, ale i piwo, które piją przeważnie Czesi i Niemcy. Nadto p. Biliński prawie cały podatek od wódki i piwa, wypitych w Galicyi, chciał oddać Sejmowi galicyjskiemu na potrzeby kraju.

Lecz Niemcy i Czesi podnieśli krzyk — a p. Biliński przestraszył się o swoją tekę ministeryalną i plan zmienił na korzyść tamtych, a na szkodę Galicyi. Wtedy większość Koła polskiego, a przedewszystkiem wszechpolacy, którzy dotąd przeciw Bilińskiemu nie występowali wrogo, podnieśli głos protestu, a p. Biliński, obawiając się uchwały Koła, przyrzekł poprawę.

Po cichu zaś robił dalsze ustępstwa i obietnice Czechom i Niemcom. Chcąc przytem na wszelki wypadek mieć za sobą i część Koła, zwąchał się po cichu z tym, którego kupić dla swoich celów było można. Tym człowiekiem był prezes ludowców, Jan Stapiński. Biliński go kupił koncesyami dla nafciarzy, którzy opłacali się Stapińskiemu na jego Banki, kamienice, domki, wydawnictwa, i dwoma milionami z pieniędzy podatkowych dla Banku parcelacyjnego.

Odtąd Biliński, dotąd choć pozory posłuchu dla Koła polskiego zachowywujący, oddala się od Koła coraz więcej. Dla kraju, w którym się urodził, wychował i na człowieka wyrósł, nie robi jako minister nic. U obcych ministrów łatwiej było wytargować coś dla Polaków, jak u swojego. Pan Biliński zaś oszczędzał pieniądze na Galicyi, aby je dać Czechom i Niemcom. Wreszcie p. Biliński na Radzie ministrów postawił wniosek, aby Galicyi nie dać kanałów i wniosek ten przeszedł. Uchwałę tą zachowano w tajemnicy.

Jak się zachowają Polacy wobec tej uchwały? — to pytanie niepokoiło trochę wszystkich ministrów. Na zwiady wybrał się sam Biliński. Porozumiał się z dwoma wiceprezesami Koła, Stapińskim i Czaykowskim. Ci dali się Bilińskiemu przekonać, że kanały są niepotrzebne. Stapiński przyrzekł mu zjednać wszystkich ludowców, Czaykowski konserwatystów. A tymczasem rozpuszczano półuchem pogłoski, że skarb austryacki pusty, że nawet cesarz nie chce kanałów, że i Galicya chętnie wyrzeknie się ich.

Na chwilę zdawało się, że intryga Bilińskiego uda się i zatryumfuje.

Kiedy Stapińskiemu i Czaykowskiemu szło ciężko w ich klubach, zjechał do Lwowa podczas obrad Sejmu sam Biliński — a dodać trzeba, że jest on posłem do Sejmu ze Stanisławowa — chodził od klubu do klubu i ze wszystkich sił starał się przekonać wszystkich, że kanały są niepotrzebne.

Przyjazdem swoim odwlekł też decyzyę w sprawie kanałów o całe 5 tygodni — ale nikogo, prócz zaprzedańców, nie przekonał. Polskie Koło sejmowe uchwaliło domagać się bezwzględnie budowy kanałów.

Pod panem Bilińskim zadrżały łydki, ale nie ustąpił; schował się za cesarza i za prezesa ministrów Binerta. Oświadczył, że cesarz nie chce kanałów, że nie chce ich i Binert, bo pieniądze potrzebne są na wojsko, armaty i okręty wojskowe „dretnuty“ i na kanały ich niema.

Lecz Koło polskie nie dało się wodzić za nos; zagroziło rządowi opozycyą, jeśli nie przystąpi do budowy kanałów.

Dla Bilińskiego wybiła ostatnia godzina jego ministerstwa. Żal mu było bo żal wpływów, znaczenia, zaszczytów i władzy, ale i wstyd, że go tak wyganiają z wygodnego ministerstwa właśni rodacy. Ambitny, uparty i rozżalony starzec chwycił się silnie poły Binerta i w kółko powtarzał: „jeden za wszystkich, wszyscy za jednego. Mamy iść, to wszyscy, albo żaden“. A tu iść trzeba było koniecznie, bo prezes Koła polskiego groził. Binert uległ i poszli wszyscy ministrowie na pensyę. Lecz jedni z nich wrócą znowu na swoje ministerstwa, a inni powrót mają zamknięty.

Do tych ostatnich należy minister Biliński. Jest to — jak się mówi — „polityczny trup“, emeryt już do śmierci — grat zużyty, wyrzucony na śmietnisko.

Koniec Bilińskiego pozostanie na długo przestrogą dla wielu polityków i kandydatów na ministrów. Ogólne potępienie, jakie dziś ściga tego niegdyś dobrego, zdolnego i zasłużonego człowieka, niechaj sobie wbiją w pamięć wszyscy. Nie wolno dla osobistego zysku czy dla władzy oddawać swą duszę obcym! Nie wolno działać na szkodę swoich rodaków! — bo swoi znienawidzą takiego człowieka, a obcy lekceważeniem i pogardą go otoczą. Dziś chwalą Bilińskiego tylko ukraińcy i hakatyści niemieccy — a ich pochwały to chyba najlepszy dowód, czem był pan Biliński dla Polaków.

Poszedł — nie wróci — zapomnijmy o grzesznym synu swej Ojczyzny.

* * *

Jak żegnają Bilińskiego inne pisma, niechaj poświadczą wyjątki:

„Pogoń“, wychodząca w Tarnowie, pisze:

> „Radością napawa nas fakt, że upadł minister skarbu, Biliński.
>
> Dawno już nie pamięta Galicya ministra skarbu, któryby bezwzględniej i zapamiętalej nękał nasz kraj.
>
> Nikt bezczelniej nie skreślał inwestycyi, przeznaczonych na Galicyę.
>
> Nikt cyniczniej nie ograbiał nas zapomocą „planów finansowych“ z ostatniego grosza.
>
> Nikt nikczemniej nie uniżał się o zaszczyty i względy Dworu.
>
> Nikt więcej nie spodlił pieniądzmi z funduszu gadzinowego krajowych stronnictw politycznych.
>
> Biliński niszczył w zarodku każdą zdrową myśl, wiodącą do sanacyi finansów krajowych. On z niebywałą rozrzutnością kosztem krwawicy najuboższych rozrzucał nagromadzone w państwowym skarbie miliony na okręty wojenne, armię, armaty i karabiny.
>
> On przeszło miliard wyrzucił na aneksyę Bośni, on wreszcie był najzażartszym wrogiem ustawy o drogach wodnych dla Galicyi“.

Inna gazeta, wychodząca aż w Kijowie, na Ukrainie, pod panowaniem moskiewskiem, „Dziennik kijowski“ tak o nim pisze:

> „Znamy ministra skarbu, który cieszy się niepopularnością powszechną w parlamencie, w swoim klubie i w swym narodzie. Ale za to ma zupełne zaufanie u Korony. Oto w chwili, kiedy państwo gotowało się do wojny przed dwoma laty, dał bez pozwolenia parlamentu 300 milionów na wydatki wojenne“.

„Kuryer codzienny“, wychodzący w Warszawie, twierdzi, że p. Biliński nie całkiem zapomniał o swoich. Prawda, nie pamiętał o Polakach i o Galicyi, ale za to pamiętał o swojej rodzinie.

> „Pan Biliński miał 4 braci — pisze Kuryer — i o wszystkich pamiętał i pomagał im, tylko nie z własnej kieszeni, choć ma podobno 10 milionów gotówki. Jeden z braci, wysoki urzędnik administracyjny, umarł niedawno. Wdowa dostała ładną pensyę — a p. Biliński na osłodę wystarał się jej o trafikę, dającą 2.000 kor. na czysto—

obie zaś jej córki dostały stypendya, jako sieroty po „ubogich“ urzędnikach.

Drugi, Józef Biliński, obywatel ziemski, został członkiem Rady zarządzającej Tow. akcyjnego elektrycznego w Wiedniu, oczywiście z ładną pensyą. Jego syn, młody prawnik, został urzędnikiem w ministerstwie oświaty.

Trzeci brat, Maryan Biliński, urzędnik pocztowy, w ciągu 2 lat awansował 2 razy; w 1909 r. został radcą rządu, a 2 tygodnie temu radcą dworu czyli hofratem.

Czwarty wreszcie dostał we Lwowie trafikę specyalnych gatunków cygar, papierosów i tytoniu, dającą zysku rocznie kilkanaście tysięcy koron“.

Tak rządził przyjaciel Stapińskiego, minister skarbu, Leon Biliński.

Trzeba pilnować, aby nam wrogowie przy spisie nie kradli polskich dusz. To obowiązek każdego.

Minister dla Galicyi

Władysław Dulęba.

Żył sobie we Lwowie długie lata człowiek ze szlacheckiego rodu, wysoki, przystojny, czysty, ładnie ubrany. Ojciec posiadał wieś, on poszedł na adwokata. Ożeniwszy się bogato, żył bez troski o jutro, bacząc tylko, by spodnie jego się nie zmięły lub buciki nie powalały.

Grzeczny, uprzejmy, żółcią swoją nie drażnił nikogo. Wybrano go też bez oporu do Rady miejskiej we Lwowie. Sam nazywał się miejskim demokratą, ale że nie miał żadnych przekonań, więc równie dobrze mógł się nazwać konserwatystą lub ludowcem.

W 1897 roku został posłem do Parlamentu. W Kole polskiem rządzili konserwatyści. Do nich należeli ministrowie, do nich prezes i wiceprezes Koła. Jedno miejsce: drugiego wiceprezesa odstąpili konserwatyści demokratom. Wśród tych byli ludzie zdolni i energiczni, ale tych bali się konserwatyści i nie chcieli ich na to stanowisko. Wybrano więc posła Dulębę, bo jego nikt się nie bał.

Przyszły wybory równe i powszechne — p. Dulęba z trudem, ale został posłem z Brzeżan. Demokraci miejscy wysuwali Dulębę na różne stanowiska, był nawet czas jakiś kandydatem na prezesa Koła. Aż wreszcie opróżniło się stanowisko ministra dla Galicyi po Abrahamowiczu, którego z ministerstwa wyrzuciło Koło polskie. Demokraci wysunęli na to miejsce Dulębę — i pan Dulęba swoje ładne, cywilne ubranie zamienił na frak i pierog ministeryalny.

Tu spotkał się p. minister Dulęba z ministrem skarbu, Bilińskim i wnet dostał się pod zupełny jego wpływ. Dulęba nigdy nie lubiał się sprzeciwiać, walczyć o swoje zasady — więc dla miłej zgody robił to, co chciał Biliński. Nawet głosował przeciw kanałom.

W ciągu tego został posłem do Sejmu ze Stryja po śmierci Fruchtmana.

O działalności Dulęby jako ministra długo było cicho — on sam siedział skromnie, grzecznie, w myśl znanego przysłowia: „grzeczne ciele dwie krowy ssie“.

Dopiero Biliński, napędzony z ministerstwa, wyśpiewał wszystko. „Czego tylko mnie zwalczacie? — Wszak i Dulęba głosował razem ze mną przeciw kanałom“ — woła dziś Biliński, a p. Dulęba skulił się tylko i milczy zawstydzony...

Przestał być ministrem razem z Bilińskim i drugi raz chyba nie zostanie... Wróci do swoich ładnych spodni i butów.

Sytuacya polityczna.

W Wiedniu, mimo świąt, siedzi polska Komisya parlamentarna i pilnuje sprawy kanałów i utworzenia nowego rządu ministeryalnego.

Niemcy wciąż jeszcze gniewają się na Koło polskie za wywalenie ministrów. Gazety niemieckie grożą Polakom, że odtąd rząd nie będzie już wysyłał do Galicyi „złotych półmisków“ z przysmakami dla Polaków, że za karę Niemcy pogodzą się z Czechami i razem zwalczać będą Polaków.

Posłowie niemieccy trzymają ostrożniej od gazet język za zębami. Jeden tylko poseł Licht z Morawskiej Ostrawy w artykule gazeciarskim obiecywał Polakom zemstę. Rozważniejsi zato politycy niemieccy, choć zagniewani, przecież udają dobre miny i radzą na licznych poufnych konferencyach z Polakami nad dalszym losem Parlamentu i kanałów.

Sławnemi ostatnimi dniami stały się zwłaszcza śniadania u posła polskiego, Kozłowskiego. Ten poseł codzień zapraszał rano na herbatę z chlebem i masłem posłów różnych narodów, przychodzili i wybitniejsi posłowie polscy i radzili razem o polityce i kanałach. Kozłowski prosił po kolei Słoweńców, Czechów, chrześciańsko-socyalnych, wolnomyślnych i t. d. Gazety niemieckie ogromnie się tych herbatek boją.

Są różne próby wyjścia z tego ciężkiego położenia. Już Niemcy i Czesi proponują po cichu Polakom ugodę, ale Polacy nie chcą przystać na stawiane warunki.

Równocześnie posłowie polscy liczą się z tem, że do zgody kiedyś przyjdzie i że trzeba będzie przedstawić nowych polskich ministrów. Zawczasu więc myślą różni posłowie o tem, aby takich kandydatów na ministrów przygotować.

Co do jednego jest powszechna zgoda i nikt się nie sprzeciwia, a mianowicie co do prezesa Koła polskiego, posła Stanisława Głąbińskiego. Pozostaje jednak jeszcze drugie ministerstwo i prezesostwo Koła po Głąbińskim.

Na te dwa miejsca nie brak ochotników. Mają ich dość prawie wszystkie stronnictwa.

Grupa posłów wszechpolskich, która godząc się na Głąbińskiego, nic nie żąda dla nikogo ze swoich, zaczęła — jak donoszą inne gazety — prowadzić z innymi posłami układy, aby zgodnie obsadzić opróżnione miejsca. Z grupami Kozłowskiego i ks. Stojałowskiego poszło wszystko gładko — ale pozostały jeszcze 3 stronnictwa: ludowcy, demokraci miejscy i konserwatyści — a tu wszystkiego dwa miejsca i wszystkich nie obdzieli.

Ludowcy koniecznie żądają jednego dla siebie. Wszechpolacy — według gazet — odpowiedzieli, że dobrze, niech dadzą poważnego kandydata, bo Stapiński jest niemożliwym do przyjęcia. Ludowcy zaś upierają się, aby albo ministrem albo prezesem Koła został Stapiński. Na to nie chcą się zgodzić za żadną cenę wszechpolacy. Układy idą ciężko. O ile w tych pogłoskach prawdy, nie wiemy.

Między kandydatami na ministrów wymieniają jeszcze: Kozłowskiego, Starzyńskiego, Górskiego, Korytowskiego, ludowcy mówią o Germanie, Kędziorze, Reubenbauerze (śmiech!), demokraci o Dulembie, Roszkowskim i t. d.

Oczywiście skończy się tylko na smaku i śmiechu z niektórych kandydatów na ministrów.

Prezesem ministrów zostanie najprawdopodobniej znowu baron Binert.

Domagajcie się, aby w każdej czytelni, w każdym sklepie i w każdem Kółku rolniczem prenumerowano „Ojczyznę“.

Starochłopska wilia.

Siedzę we Wiedniu na obczyźnie, bom postanowił skorzystać z wolnego czasu i ze spokoju, żeby wypracować wnioski na zmianę niektórych ustaw, dla ludu uciążliwych, oraz pokończyć referaty w bardzo ważnych sprawach. Ale chociaż roboty tak dużo, że nie wiem, czy do miesiąca się z nią uporam i chociaż przez to nie ma czasu na rozmyślanie i rozpamiętywanie, to jednak ten święty wieczór jakoś z pamięci i z serca uciec nie chce. Obliczam sobie lasy, czytam zagraniczne ustawy o odpowiedzialności za sprzedane bydlę, a tu w uchu dźwięczy kolęda, taka stara nasza poczciwa polska kolęda i ustawy cudzoziemskie wypadają z ręki, a serce i myśl leci do rodzinnej chaty na wieczór wigilijny. A chociaż dobrowolnie zostałem we Wiedniu, aby między obcymi w spokoju pracować, to przecież smutek wkrada się w duszę i jakoś człowiekowi tęskno za swoimi i za świętym obrzędem wigilijnym.

Ot rzucę na bok wszystkie rachunki i obce ustawy, a kochanym czytelnikom opiszę, jak wyglądała wilia u nas, kiedy jeszcze nieboszczyk ojciec żył, a ja i moje rodzeństwo byliśmy dziećmi.

W naszej chacie szło wszystko na starą modę. Stary obyczaj przepisywał, że w dzień wigilijny suszyło się aż do wieczerzy. Starsi nie brali nic do ust przez cały dzień; dzieciom dawano wczesnym rankiem chleba z konopnym olejem, a potem kazano im suszyć. Co to była za męka dla dzieci, które przywykły co pół godziny coś przegryźć, zrozumie każdy. A chociaż dzień wigilii jest najkrótszy w roku, to z powodu ścisłego postu wydawał się nam najdłuższym. Do dzisiaj pamiętam, jak leniwo wlekły się te godziny — a jeżeli słońce świeciło, to wydawało mi się, że na złość nam stoi sobie w miejscu i ociąga się z zachodzeniem.

W chacie tymczasem wrzała robota. Wszak na trzy albo i cztery dni świąt trzeba się było przysposabiać. Ojciec cały dzień spędzał na boisku, domłacając zboże, rżnąc sieczkę na zapas i t. d., a matka uwijała się przy dzieży i piecu, w którym płonęło smolne drzewo. Przy takiej gorączkowej robocie nie mogły dzieci włazić w drogę i naprzykrzać się matce, bo i o szturchańca nie trudno. A wigilijny szturchaniec to nie byle co.

Wedle starego podania, w któreśmy święcie wierzyli, dziecko miało przez cały rok taki los, na jaki sobie swojem zachowaniem w dzień wigilijny zasłużyło. Kto więc naraził się w ten dzień na krzyk, naganę, uderzenie, był pewny, że przez cały rok czeka go to samo. To też chociażeśmy sobie zazwyczaj z maminych szturchańców nic nie robili, bo to więcej tam było zamachu niż szkody, to przecież w dzień wigilijny staraliśmy się być posłuszni, pomocni i grzeczni jak aniołki.

Nie było dla dzieci zajęcia — chyba dzieżkę oskrobać, lub łyżki pomyć. Wyglądało się przez okno, a tam lód zapraszał do ślizgawki. Taki gładki, szklany, lśniący. Ale cóż? Ślizgawka na butach była surowo zakazana przez ojca; o łyżwach nikt wtenczas nie wiedział — a zresztą ślizgawka wogóle była uważana za wielką rozpustę, za karygodne rozluźnienie obyczajów, za dowód, że z takiego dziecka nic nie będzie, bo się marnością obróci. W dzień inny tośmy się jednak ślizgali, ale zdaleka od domu, aby rodzice nie widzieli; ale we wilię to był taki grzech, że nawet w skrytości żaden sobie na niego nie pozwalał.

Aby więc oprzeć się pokusie, odwrac oczy od okna na chatę, ale tu druga piec pachnie świeżem pieczywem, dziecku chce się jeść, a tu dobywają z pieca pszeniczny chle-

buś zarumieniony i każą go chłopcu świeżą wodą omyć. Zapach przedni, nęcący — głód zachęca, żeby w tajemnicy ukruszyć bodaj sęk z chleba, ale posłuszeństwo wobec nakazu rodziców stawia opór głodowi. Umyłem wszystkie bochenki, ani okruszyny nie oderwałem: pokusa pokonana.

Dziś i śmiać i płakać się chce, gdy sobie człowiek te dziecinne walki przypomina. Ale dobra to była szkoła. Życie ludzkie składa się z samych utrapień, więc dobrze jest od dziecięcego wieku wprawiać młodzież w umartwienie, w dobrowolne pokonywanie pokus, a szczególnie łakomstwa. Niech się święcą te dobroczynne rodzicielskie ręce, które tak mój młody wiek prowadziły.

Nareszcie zarumieniło się niebo na zachodzie, a na głębokim lazurze pokazała się pierwsza gwiazdka. Wiedzieliśmy, że o pierwszej gwiazdce już wolno jeść. Więc w te pędy do mamy: Mamo jeść, bo aż się płakać chce z głodu.

A tymczasem dopiero grubsze gospodarskie roboty były pokończone — w chałupie zaś nieład, jak na pobojowisku. Trzeba w chacie porządek robić. A naprzód wszyscy musieli sobie w ciepłym, z wierzbowego popiołu cedzonym ługu pomyć głowy, ręce i nogi. Robiło się to na alarm. Potem następowało zmywanie wszystkich sprzętów gorącą wodą, a w końcu zamiatanie chałupy. Dzieciom aż się słabo robiło na to przewłóczenie sprawy: naprawdę był to najdłuższy dzień w roku.

Nareszcie około szóstej albo siódmej godziny wieczorem pokazywał się ojciec ze snopami zboża, a przestępując próg mówił:

— Na szczęście, na zdrowie na ten nowy rok.

— Witajże z kolędą — wołaliśmy na wyścigi.

Zaczynało się święto.

Snopy zboża ustawiono w kącie na ławie tak, że kłosami sięgały pułapu. W jednym z tych snopów umieszczano szklankę lub jaszczyk z miodem i wiązkę opłatków. Następnie przynosił ojciec kilka wiązek mierzwy i kilka okłotów słomy. Mierzwę rozścielało się na całej chałupie, a okłoty miały służyć za siedzenie. Wreszcie przynoszono siano. Była to już robota dzieci porozścielać siano na ławach, stołkach i na skrzyni, przymocować je powrósełkami, a tak w mgnieniu oka cała chata wyglądała jak stajenka. Na ławie, która służyła za stół, kładło się wianek czosnku, jako znak zdrowia i zabezpieczenie od chorób.

Natenczas ojciec smarował opłatek miodem i składał życzenia. Słów nie pamiętam: były krótkie i rzewne, wypowiadał je głosem uroczyście przyciszonym i dawał kąsać opłatek matce, a potem nam po kolei. Żegnaliśmy się z westchnieniem przed ukąszeniem ojcowskiego opłatka, poczem matka dawała znów swój opłatek wszystkim po kolei. Każde z nas miało też swój własny opłatek, pomaszczony miodem i znowu kolejno zadzielało wszystkich. Szczególniej dobijało się każde z nas o czerwony opłatek.

Nastrój panował już świąteczny. Po opłatku przychodziła wieczerza. Więc kapusta z grochem, choć tylko na oleju, lecz przedziwna w smaku; dalej krupy z odwarem śliwczanym; zacierka śliwkowa lub jabłeczna; śledź smażony na oleju, i inne podobne. Mleko i masło od wieczerzy były wykluczone — nie używano też u nas żadnych napojów. Przy wieczerzy nie mówiło się nic. Wszelka gawęda o codziennych troskach byłaby odbierała uroczystości jej świąteczny charakter.

Przed skończeniem wieczerzy rodzice brali kawałki chleba z piórkiem czosnku do każdego kawałka i z ćwiartką opłatka i szli na oborę „zadzielać“ konie i krowy. Należała się bydłu ta cząstka wieczerzy, bo ono pierwsze przytuliło Pana nad Pany. Opowiadali zaś starzy, że w wieczór wigilijny o północy bydło uzyskuje głos ludzki, aby sobie opowiedzieć nowinę, że się Bóg narodził.

Po skończeniu wieczerzy ojciec zaczynał: „W żłobie leży, któż pobieży“, a my śpiewaliśmy za nim. Śpiewanie jednak nie było fachem ojca nieboszczyka. On uznawał tylko dwie kolędy: „W żłobie leży“ i „Witaj Jezu pożądany“. Za to matka umiała setki kolęd, to też brała kantyczki, my siadaliśmy koło niej i krzyczeliśmy na wszystkie melodye kilka godzin. A cudowne to są te nasze kolędy. Żaden naród na świecie nie ma ich tylu i tak pięknych. Co za szkoda, że lud zaczyna o nich zapominać i że młodsze pokolenie już ani połowy tych melodyi nie zna.

Gdy siostra podrosła, wybiegała z konewką po wodę do studni zaraz po wieczerzy. Zawsze ktoś niewidocznie rzucał do studni kawałek chleba, a dziewczyna, która ten kawałek konewką dobyła, miała zaraz do roku wyjść za mąż.

Wśród śpiewania kolęd robiliśmy przerwę dla wytchnienia i wtenczas „biliśmy kopy“. Brało się garść równej słomy i rzucało się ściętym końcem ku szparom w ścianach, w powale, pod belki pułapowe. Część tej słomy więzła w tych szparach i zwieszała się od powały ku dołowi, albo sterczała ze ścian i to były owe kopy.

Po umęczeniu się śpiewem i kopami, dzieci kładły się spać na rozścielonej mierzwie, a starsi wybierali się na pasterkę do Sieniawy. I znowu muszę powiedzieć, że tak prześlicznej pasterki jak w Sieniawie nie widziałem nigdzie.

Trzykrotne dzwonienie na uroczystą mszę odbywało się w Sieniawie z przerwami. Za każdem uderzeniem dzwonka odzywały się na chórze surmy i kotły i śpiewano jednę zwrotkę kolędy. Za trzecim dzwonieniem wychodziło z zakrystyi ośmiu ludzi z pochodniami, prowadząc księdza do ołtarza, organista puszczał organ na wszystkie rejestry, surmy grały i grzmiały kotły,

ogłuszająca muzyka głosiła rozpoczęcie ofiary. Kościół gorzał. Oprócz pochodni, płonących przy ołtarzu, oprócz wszystkich świec na ołtarzach i w pająkach, świeciły się setki różnokolorowych lampek szklanych, ustawionych na wszystkich dostępnych gzymsach murów i ołtarzy.

O północy, gdy zapalono setki świec, setki różnokolorowych lampek i czerwone pochodnie roztoczyły swe blaski, gdy setki wiernych trzymały płonące gromnice, nastawał taki czarodziejski zamęt światła i jasności, że raz widziane podobne nabożeństwo nigdy z pamięci nie uleci. A potem to prawdziwe wojenne nabożeństwo; Gdy ksiądz zaintonował: „O przenajświętsza hostya“, tysiące ludzi zdrowymi piersiami poderwało melodyę dalej, organista chwytał pieśń pełnym organem, zatrąbiono w surmy i uderzono w kotły, to zdawało się, że od tej potęgi głosów mury się trzęsą, jak cienki papier. Z takim majestatem siły i wojennego animuszu święcili dziadowie nasi dziękczynne nabożeństwa za wygraną pod Chocimem, Wiedniem, za przewagi nad wielkim wrogiem.

Czy tam w Sieniawie jeszcze dziś z taką mocą i powagą święcą uroczystości kościelne? Czy będzie mi dano choć raz jeszcze w życiu być na takiej staromodnej pasterce? Kto to wie? Zmienią się wszystko, to może i w Sieniawie niemiecki obyczaj wygoni nasze dawne, a takie prześliczne zwyczaje... Nie wiem.

Teraz już dodam tylko kilka pobieżnych szczegółów. Na Boże Narodzenie rano nacieraliśmy się przy myciu twarzy kłosem i pieniądzem. Nie było grosza w chacie, więc stary miedziany czwórak pełnił tę służbę. Miało takie mycie się zapewniać zamożność (kłos) i zdrowie. Mówi się nawet u nas: zdrów jak pieniądz.

W Boże Narodzenie nie gotowało się nic, bo święto wielkie. Na święty Szczepan raniuteńko wynosiło się słomę i siano z chaty, wymiatało izbę, a ze słomy świątecznej kręciło się powrósła i obwiązywało niemi drzewa w sadzie. Takie obwiązki zabezpieczać miały drzewa przed gąsienicami. Od świętego Szczepana liczyło się też przepowiednie pogody na cały rok. Jaki dzień świętego Szczepana, taki miał być styczeń; do dnia świętego Jana miał być podobny luty, do Młodzianków marzec i t. d. Jednego roku spisałem sobie takie przepowiednie i muszę powiedzieć, że się wtenczas przeważnie ziściły.

Od świętego Jana zaczynało się chodzenie z „kobyłką“ oraz zbieranie szczodraków. Były to wielkie bułki, albo pomniejsze bochenki chleba, które się umyślnie piekło we wilię, aby dzieciom, szczególnie ubogim, dawać na kolędę. — Z „kobyłką“ chodzili podrastający chłopcy i parobki. Jeden zawdziewał futrzaną maskę na twarz i stąd nazwa kobyłki. Ale mógł uchodzić i za wilka i za wszelkie inne włochate stworzenie. Kobyłce towarzyszył żyd i gracz na kobzie. Ci śpiewali wszystkie owe ucieszne pastorałki, jakie się w starych kantyczkach spotyka.

Właściwy szczodry wieczór przypada na ostatniego grudnia, ale już od świętego Jana chodziły dzieci po szczodrakach i śpiewały:

Szczodry wieczór, dobry wieczór!
A czy jest czy niema
Pan gospodarz w doma?
Szczodry wieczór, dobry wieczór!

Rozpisałem się za długo, a niejeden może powie, że i nie do rzeczy. Ale kto był na obczyźnie i tam w Ameryce, w Kanadzie czy gdzieindziej, musiał zdala od domu przepędzić święty wieczór wigilijny, ten zrozumie i ten mi wybaczy. Nie jestem między swoimi, więc przynajmniej opiszę te pamiątki, które mi po głowie chodzą, a już to mi ulgę przyniesie i pociechę.

A potem nie ma się czemu wstydzić naszych starych obyczajów, bo były piękne i działały wychowawczo na dzieci. Gdy dziś dziecko przez cały dzień wigilijny je ile zechce, to mu i wieczerza nie smakuje i dnia tego nie zapamięta.

Niech mi też kto powie, że nasze snopy zboża z ukrytym miodem i opłatkami, to coś brzydszego niż zawleczone z Niemiec drzewko. Snop zboża przypomina stodołę czy stajnię — a Chrystus w stajni się narodził, nie w lesie pod choinką. W naszym rolniczym kraju snop zboża, to widomy znak naszego zajęcia głównego — a zamienienie chaty w stajenkę jest wierniejsze, niż wystawienie drzewka ze świeczkami i świecidełkami. Nie potrzebujemy się naszych obyczajów wstydzić, bo są piękne, rzewne i swojskie.

Kto te wspomnienia z zajęciem przeczyta, temu serdecznie dziękuję — kto się niemi znudzi, niech mi przebaczy, a wszyscy niechaj przyjmą serdeczne i szczere życzenia Wesołych świąt i szczęśliwego Nowego Roku.

Jan Zamorski, poseł do Rady państwa.

Z polityki światowej.

Rozchodzą się po świecie ciche wieści, że wśród możnych tego świata toczą się układy o nowe między różnemi państwami przymierza i sojusze. Mówią o tem, że Anglia, zagniewana przez długie lata na Niemcy, wyciągnęła do nich rękę do zgody, że Niemcy godzą się z Francyą, a Austrya zjednywa zagniewaną za zabranie Bośni i Hercogowiny Rosyę. Układy te międzypaństwowe mają się według tych pogłosek toczyć między głowami korowanemi tych państw i ich ministrami dla spraw zagranicznych. Celem tych rokowań ma być: zaprzestanie dalszych zbrojeń. Zwykli śmiertelnicy do takich narad nie są dopuszczani, nic więc pewnego powiedzieć o nich nie można.

W jaskrawem jednak przeciwieństwie do tych pogłosek stoją oświadczenia kilku ministrów

wojny. Generał Heringen, pruski minister wojny, zapowiedział w Parlamencie Rzeszy niemieckiej, że ilość żołnierzy musi być powiększoną, a okręty wojenne dalej budowane i że na to, aby utrzymać w Europie „pokój i równowagę państwową“ potrzeba nowych, bardzo licznych milionów.

Rada wojskowa w Austryi, obradująca pod przewodnictwem cesarza w Wiedniu, miała dojść do takich samych wyników. Minister wojny, Szenajch, zapowiedział już, że po świętach we wspólnych delegacyach zażąda nowych wydatków na wojsko w kwocie 50 milionów koron. Wyraźnie zapowiedział to niedawno cesarz w rozmowie z polskim posłem Kozłowskim.

Nie różni się od tych zapowiedzi i mowa włoskiego ministra San Giuliana, który od włoskiego Parlamentu żądał również pieniędzy na wojsko... A i Stany Zjednoczone Ameryki powiększają wojska swoje odrazu o 20.000 żołnierzy.

Kroją się też niejasne dziś jeszcze wypadki i w środkowej Azyi. Tam Anglia i Rosya pierwsze trzymają skrzypce — to w Persyi, to w Chinach. Wchodzą im zaś w drogę i ludy tam zamieszkałe, które chcą swobody, wolności, konstytucyi, a nadto Japończycy i jak zawsze i wszędzie Niemcy. Trwają tam więc waśnie i kłótnie, z których dziś niewiadomo, co jeszcze urośnie. To tylko wydaje się coraz pewniejszem, że stare i wielkie państwo, Chiny, w których przed 12 laty wyprawiono rzeź misyonarzom i białym ludziom, dostaną konstytucyę.

W Japonii, po wielkiej, a zwycięskiej walce z Rosyą, na ogół dzieje się dobrze. Prawda, że wojna ich wycieńczyła, że liczne zadała im rany, ale zabrawszy Moskalom Koreę i wygrawszy bitwy, zabrali się żywo do pracy. Ale w tym roku przyszła na ich kraj wielka klęska powodzi, a na ludzi najazd socyalistów. Rozmnożyli się przy tem i anarchiści, którzy raz po razu knują spiski na cesarza Japończyków, mikadem zwanego. Spiski się nie udają, a winni giną na szubienicach. Równocześnie coraz powszechniej podnosi się wśród Japończyków żądanie praw konstytucyjnych — słowem jednem ten kraj niewielki staje się całkiem podobnym do państw europejskich.

W Ameryce południowej wśród t. zw. republik, a więc państw bez cesarzy, tylko z wybieralnymi prezydentami na czele, wrą wciągle walki. Kłócą się albo z sąsiadami albo same ze sobą. W Meksyku trwa więc rewolucya, w Brazylii, do której wyjazd zachwalają i u nas, przyrzekając grunt nawet za darmo, zbuntowani żołnierze z okrętów bombardują miasto Rio de Janeiro i nawzajem się mordują, a rząd jest za słaby, aby bunt odrazu zdusić.

W Stanach Zjednoczonych Ameryki północnej na chwilę po niedawnych wyborach ucichło. Dawny prezydent, Roosevelt, poniósłszy klęskę, umilkł na kilka tygodni. Nie ugiął się przecież i nie opuścił rąk. Wyczekawszy trochę przed paru dniami — jak doszą telegraficznie z Ameryki — zapowiedział na zgromadzeniu, że wynik wyborów nie powstrzyma go w jego pochodzie przeciw związkom czyli trustom możnych i w walce przeciw przekupstwom i wyzyskowi.

Wspomnieć jeszcze trzeba o tem, że wojska francuskie ciągle mają kłopoty z nawpół dzikimi ludami w Afryce, że w Szwajcaryi prezydentem Rzeczypospolitej na rok 1911 wybrany został Marek Ruchet, człowiek zdolny i ruchliwy, że dwa niewielkie państwa Grecya i Bułgarya, na południe od Galicyi leżące, pragną się zbliżyć do siebie przez zawarcie małżeństwa między królewiczem greckim, Krzysztofem a jedną z córek bułgarskiego króla Ferdynanda.

Za to w Serbii w rodzinie królewskiej ciągłe panują niesnaski. Między królem Piotrem, a starszym synem Jerzem, który w czasie grożącej wojny gwałtownie występował przeciw Austryi przychodzi stale do sprzeczek, kłótni, a nawet i pyskobicia. Książę Jerzy, który zrzekł się praw do następstwa po ojcu na tron królewski na rzecz brata Aleksandra, teraz grozi, że wznieci przeciw ojcu i bratu bunt, jeśli mu praw jego nie zwrócą. Podczas takich starć rodzinnych, król Piotr, uniesiony gniewem, wymierzył synowi dwa sążniste policzki. Książę Jerzy chwycił za szablę i wyciągnął ją z pochwy, lecz nadbiegli oficerowie i wyprowadzili go z pokoju.

W Turcyi, po stłumieniu powstania Albańczyków, panuje chwilowo spokój. Abdul Hamid, dawny sułtan, podobno dogorywa, dobrze strzeżony przez nowy rząd, który dobrał się już także i do jego pieniędzy, złożonych w bankach niemieckich. Nową pożyczkę w kwocie 250 milionów koron zaciągnął rząd turecki u Niemców i łata nią zaniedbaną w poprzednich latach gospodarkę. Humor psują Turkom tylko Grecy, którzy radziby zabrać im wyspę Kretę, gdzie przeważnie mieszkają ich rodacy. Grecy jednak, niezgodni u siebie w domu, choć radziby tę wyspę połączyć ze swoim krajem, wojny się boją. Na razietakże porządkują swój własny dom, zwołali Narodowe Zgromadzenie i zmieniają konstytucyę. Co zrobią potem — dziś przewidzieć trudno.

Oto krótki, ogólny obraz tego, co się dziś dzieje w świecie.

Ruch, życie, walka jawna i skryta wre i pali się wszędzie.

Nie sprzedam ci ziemi.

Przyszli cudoziemcy, ludzie innej wiary:
„Sprzedaj chłopie ziemię, będziesz miał talary.
Zapłacimy chatę, zapłacimy pole,
Będziesz miał talarów na całuśkim stole“.

„A, mój panie miły! Idźże gdzie chcesz sobie,
A ja swojej roli za nic nie dam tobie!

Schowaj swe dukaty i białe talary,
Kto sprzedaje ziemię, ten nie naszej wiary.

Chcesz kupić odemnie i rolę i płoty?
A kto mi zapłaci za ten miesiąc złoty?
A kto mi zapłaci za tę jasność Bożą,
Co w moje okienka idzie z każdą zorzą?

Za ten dach słomiany, co mi głowy strzeże?
Za ten dzwon, co dzwoni rankiem na pacierze?
A kto mi zapłaci za tę modrą wodę,
Za ciepło słoneczne, za cichą pogodę?

Za wiosenny klekót naszego bociana?
Za piosnkę pastuszków, „dana oj ta dana“?
Za ten piasek biały, gdzie się bawią dzieci,
Za tego skowronka, co nad głową leci?

A kto mi zapłaci za tę słodycz miodu,
Co ją pszczoły znoszą do ula z ogrodu?
Za palmę co pęka w kwietniową niedzielę?
Za tę gruszę polną, co długi cień ściele?

A kto mi zapłaci za kościółek Boski,
W którym co niedzieli Bogu składam troski?
Za cmentarz przy farze, zielony jak sady,
Gdzie leżą w swych grobach ojcowie i dziady?

A toć i mnie miejsca wnet będzie potrzeba,
Gdy Pan Bóg zawoła: „Chodź człeku do nieba“.
A toćby mi dzieci po nocach tęskniły,
Nie wiedząc, gdzie szukać ojcowej mogiły.
Nie sprzedam ci roli. Weź Niemcze talary!
Kto ziemię sprzedaje, ten nie naszej wiary.

Marya Konopnicka.

Drożyzna.

Na wsi skarżą się ludzie na małe, niskie ceny — w mieście zaś na wysokie ceny.

Podajemy poniżej tabelkę cen mięsa za kilogram w ostatnich 20 latach. Niechaj czytelnicy nasi osądzą, czy ceny na bydle i nierogaciźnie podskoczyły tak, jak na mięsie. Jeśli nie, to kto na tem zarabia?...

	w roku	korony
Cena 1 kilogr. mięsa wołowego:	1890	—·98
	1900	1·12
	1905	1·28
	1909	1·32
	1910	1·80
Mięso wieprzowe za 1 kilogram:	1890	—·84
	1900	1·20
	1905	1·53
	1909	1·70
	1910	2·—
Mięso cielęce za 1 kilogram:	1890	1·05
	1900	1·12
	1905	1·50
	1909	1·60
	1910	2·—

Ceny te podawane są jako przeciętne — a wykazują jaskrawo, jak idą w górę.

Ze spraw ruskich.

Za artykuł „Słówko o Rusinach“ z ostatniej „Ojczyzny“, rzuciło się wściekle na nas „Narodne Słowo“, gazeta Ukraińców, ta sama, która najgłośniej kłamała o Żulinie i niby prześladowaniu ruskich dzieci przez polskiego nauczyciela. Artykuł nasz ubódł ich dotkliwie, to też wymyślają nam od ostatnich i twierdzą, że sąd nasz o nich jest niesprawiedliwy.

Cieszylibyśmy się bardzo, gdyby tak było. Ale codzienne czyny hajdamaczyzny ruskiej dowodzą czego innego. I ostatni tydzień przyniósł nam znowu wiązankę napadów ruskich boryteli.

I tak donoszą z Jeziernej, że dąb, z którego Polacy zamierzali postawić krzyż grunwaldzki, został przez nieznanych sprawców na razie wycięty. Po paru dniach pokazało się, że to byli Ukraińcy.

Już wcześniej postąpiono tak samo i w Horodyszczu. W Zabojkach znowu, gdzie Polacy stanowią ogromną większość, Rusini dokuczają im jednak w sposób wprost nieznośny. Doszło już do tego, że brat wójta, Maryasz, wpadł do klasy i pobił nauczycielkę Polkę. Zrobił to za namową innych, aby w ten sposób wykurzyć ze wsi Polkę, a sprowadzić hajdamakę.

Równocześnie w Parlamencie poseł Okuniewski klął nas i groził — a paru posłów ruskich aż do następcy tronu, arcyksięcia Franciszka Ferdynanda, usiłowali się dostać, aby poskarżyć na Polaków.

Nie zasypiają oni i innych dróg, byle Polaków zniszczyć i dokuczyć im.

Oto we Lwowie odbyło się ruskie zebranie, które ma za zadanie zruszczenie Lwowa. Obecnie wybrano tam komitet, który prowadzi akcyę spisową za Rusinami.

Na dni 26 i 27 grudnia „Narodny Komitet“ zwołuje do Lwowa Zjazd ukraiński. Mają przybyć wszyscy posłowie i działacze po 10 z każdego powiatu politycznego, a po 5 z okręgu sądowego. Zjazd ma omówić: działalność posłów, organizacyę, subwencye rządowe na hodowle, szkolnictwo, spis ludności i t. d.

Ruskie pismo „Uczytelska Hromada“ donosi, że w roku bieżącym istnieje w Galicyi 6 prywatnych ruskich gimnazyów, a to w Rohatynie, Jaworowie, Kopyczyńcach, Horodence, Zbarażu i w Busku. Uczy w nich 43 profesorów. Skąd na to biorą Ukraińcy pieniądze? — na to chyba jedni Prusacy mogliby odpowiedzieć.

Ekspolak, metropolita lwowski, ks. Szeptycki, powrócił już z Ameryki do Lwowa. Opowiadają, że podróż nie bardzo mu się udała, gdyż owie-

czki amerykańskie uciekały przed nim, a raz nawet zgniłemi jajami go obrzucono. Mimo to wrócił zdrów i cały.

Bank Długosza.

Gdy ludowcy zawarli sojusz z konserwatystami, jednym z warunków zgody była koncesya na Bank ludowy. Bank ten miał wybawić ludowców z nędzy, a na chłopów wprowadzić raj na ziemię. Miały być z tego Banku potworzone spółki rolne, handlowe, rzemieślnicze, wywozowe. Bóg wie — co nie obiecywał „Przyjaciel ludu“.

Wreszcie Deskur i Stapiński dostali koncesyę. Cieszcie się, ludowcy! Spłynie na was złoto, wołali.

Ale Bank jakoś urodzić się nie chciał. Za to raz i drugi rozchodziły się wieści, że Stapiński sprzedaje koncesyę. Pół roku temu dawał za nią Długosz 100.000 koron, przed 5 tygodniami żydzi 200.000 koron. Aż skończyło się na tem, że Bank ten zakładają razem Długosz i Lenderbank z Wiednia. Lenderbank jest to żydowski, lichwiarski Bank z Wiednia.

Tak więc Bank ludowy został bankiem nafciarskim i żydowskim. Złoto na chłopów, ani na ludowców nie spłynęło — za to wie coś o złocie przyjaciel chłopów, Stapiński. Słusznie też pisze o tem „Gazeta ludowa“:

> „Pamiętacie o tem, że p. Stapiński zaraz w pierwszym okresie działania rządowi na rękę, dostał koncesyę na „Bank ludowy“. który miał chłopom dostarczyć taniego kredytu. Koncesya była dana na imię dwóch panów: Jana Stapińskiego i Dra Jana Deskura, ówczesnego dyrektora Banku parcelacyjnego.
>
> Skoro ta sama koncesya znajduje się obecnie w ręku wiedeńskiego Lenderbanku i p. Długosza, to nie zaszedł tu żaden cud, tylko prosta sprzedaż koncesyi, która chłopom miała dać „tani kredyt“. Ile p. Stapiński wziął za to sprzedanie koncesyi, my nie wiemy, bośmy nie byli przy rachowaniu pieniędzy. Wiemy tylko, że p. Stapińskiemu dawano za tę koncesyę jeszcze pół roku temu 100.000 kor., słowami sto tysięcy koron.
>
> Dodać należy, że wiedeński Lenderbank to jest Bank żydowski. Jeżeli ten Bank wlazł dzięki p. Stapińskiemu do Galicyi, to nie na to, aby chłopom dać tani kredyt, tylko, aby zarobić największą kupę pieniędzy, a zarabia się jak wiadomo nie tanim, ale drogim kredyrem.
>
> Sprzedana koncesya Banku ludowego stanowić będzie dobry fundament pod ów „domek z 4 stancyami“, darowany „prezesowi“ przez posła Długosza.

Na Banku to chyba i Długosz zrobi interes.

Jak gospodarowali?

Dnia 7 lipca 1906 r. kupił Bank parcelacyjny Wielopole i Rzegocin od hr. Ludwika Dębickiego za 637.906 kor. 13 hal. Jak Bank parcelował, o tem szczegółowo pisze „Korespondencya wiedeńska“:

Parcelacya trwała niespełna 2 lata, gdyż 4 lipca 1908 r. poseł Olszewski zawarł imieniem Banku umowę z Janem Blecharzem i spółką i sprzedał im resztę gruntu. Obecnie c. k. Sąd we Lwowie dostał rachunki tej parcelacyi. Uzyskana cena kupna: 784.642 kor. 98 hal. czyli wzięto więcej niż zapłacono: 146.736 kor. 85 h. Zdawałoby się, że powinien więc być zysk, skoro po dwu latach sprzedali ziemię o 146 tysięcy drożej, jak kupili. Tymczasem księgi Banku wykazują, że Bank dołożył jeszcze do tej parcelacyi 58.666 kor. 17 hal. czyli, że koszta parcelacyi Wielopola i Rzegocina w ciągu 2 lat wyniosły 205 tysięcy, 403 korony i 2 hal. Nadto delegat Banku skarży jeszcze o 15.851 kor. 11 hal., jakie mu Bank winien.

Wśród rachunków w księgach Banku parcel., odnoszących się do tej sprawy widnieje suma 86.127 kor. 49 hal. na nieokreślone wydatki. **86 tysięcy na nieokreślone wydatki!** Pieniądze te zapewne rozpłynęły się wśród dobrych przyjaciół Banku!...

I jak tu przy takiej dojnej krowie nie było udawać... „przyjaciela ludu“...

Koncesye szynkarskie.

Mamy już szereg dowodów w rękach, że poseł Stapiński maczał swoje paluszki w rozdawaniu koncesyi szynkarskich i to na dwie strony: chłopom i żydom.

Z powiatu grybowskiego piszą, że dotychczasowy propinator z Bobowy, Izrael Holender, nie dostał koncesyi, bo ma inny zarobek, ponieważ jest przedsiębiorcą dostawy szutru do kolei. Z początku klął i odgrażał się, ale potem ucichł. Jako ludowiec udał się do Stapińskiego i... koncesya w kieszeni. Dziś pan Izrael opowiada na wszystkie strony, że pojedzie do Wiednia podziękować Jasiowi.

Z Wielowsi, pow. Tarnobrzeg, piszą do „Prawa ludu“, że tam tak samo było z koncesyą dla Michała Zioły. Zioło jeździł kilka razy do Krakowa do Stapińskiego, nie żałował wydatków, zapłacił „Przyjaciela ludu“. Dziś chwali się: „Panie święty! kosztowało mnie to dużo, alem dostał koncesyę“.

O tym Ziole piszą, że dotychczas karczmę prowadził nie najporządniej — że było tam i pijaństwo i ferbelek.

Angielskie wybory.

Wybory do angielskiej Izby gmin, o której parokrotnie już pisaliśmy, zostały ukończone. Siła poszczególnych stronnictw prawie nie zmieniła się. Z 630 posłów weszło 580 tych samych. W całej walce unioniści czyli konserwatyści zyskali 3 posłów, a liberali 3 stracili. To jest ostateczny wynik ciężkiej i gwałtownej akcyi wyborczej. Mimo, że siły unionistów i liberałów są na liczbę równe, to jednak liberali o tyle stoją lepiej, że mają za sobą posłów irlandzkich i z tak zwanej partyi pracy, czyli razem około 100 posłów więcej. W ten sposób liberali razem ze swoimi sprzymierzeńcami tworzą w Izbie gmin większość dość znaczną.

Co będzie dalej? Liberali twierdzą, że Izbę lordów i tak usuną, unioniści dowodzą zaś, że do tego nie dojdzie, bo naród angielski, oddając 270 mandatów unionistom dowiódł, że nie chce zmian nagłych i gwałtownych.

Narazie po wyborach obie strony jeszcze sapią, dyszą zemstą, potem prawdopodobnie zaczną się porozumiewać i robić wzajemne ustępstwa. Lecz o tem w swoim czasie napiszemy.

Nareszcie!

Długo i wśród swoich i wśród obcych grasował jako niebezpieczny szkodnik, redaktor piśmidła „Monitora“ i poseł do Rady państwa, Ernest Breiter. Szkalował, kto mu stanął na drodze, rzucił się nawet na arcybiskupów Bilczewskiego i Teodorowicza.

Przed rokiem głośno było o Breiterze we Wiedniu. W gwałtownej mowie, podmówiony przez wrogów wszechpolaków, napadł na cześć prezesa Koła polskiego, posla Stanisława Głąbińskiego. Zarzucił mu, że za nominacyę przemysłowca niemieckiego Weclera, dostali wszechpolacy 200.000 koron na nową gazetę i lodownie na mięso.

Pisma Bobrzyńskiego i Stapińskiego szalały z radości, że znalazły coś przeciw wszechpolakom. W ich oczach nawet Breiter był wiarygodną osobą.

Zarzuty Breitera od początku do końca oparte były na wierutnem kłamstwie, udowodnił to z miejsca prezes Głąbiński, a Niemiec, prezes Izby posłów, Pattai, ostro zwymyślał Breitera.

Breiter nie stracił jednak miny — przeciw Głąbińskiemu wniósł w Radzie państwa interpelacyę, a potem nawet wniosek nagły — Pattajowi zaś wydał pojedynek.

Ale tu zaczęło się Breiterowi powodzić coraz gorzej. Ludowcy i konserwatyści, widząc, że kłamstwo wylazło na wierzch, schowali ogony pod siebie i zamilkli — a pan Breiter został sam. Na dobitek Pattaj oświadczył, że z człowiekiem bez honoru pojedynkował się nie będzie...

Zwołano sąd honorowy, który zaczął badać czyny Breitera i zaraz pierwsze dwie sprawki zbadane pokazały, że p. Breiter honoru nie ma.

Podczas badania p. Breiter cofnął po cichu i wniosek i interpelacyę przeciw Głąbińskiemu, bo się bał, że jak przyjdzie do rozprawy, to będzie źle.

Przed kilku dniami sąd honorowy, złożony z 5 posłów (3 Niemców, 1 Rusin, 1 żyd syonista) wydał wyrok tej treści:

> „Rada honorowa orzeka, że sekundanci Pattaja postąpili zupełnie poprawnie, odmawiając zadośćuczynienia Breiterowi, gdyż w sprawach swoich z porucznikiem Molnarem i Moszyńskim, Breiter bezwarunkowo postąpił wbrew kodeksowi honorowemu.
>
> Rada honorowa oświadcza przytem, że dalszych zarzutów, zgłoszonych przeciw Breiterowi nie badała“.

Chwała Bogu, znowu jeden szkodnik przed światem utrącony. Dziś już żaden uczciwy człowiek nie poda Breiterowi ręki i nikt też słowom jego nie da wiary: Breiter przed całym Parlamentem przez Sąd obywatelski, który on sam zwołał, uznany został za człowieka bez czci.

Wyrok ten niechaj dojdzie tam wszędzie, gdzie rozchodzi się jeszcze jego piśmidło „Monitor“ i gdzie słowom jego często dawano wiarę.

Przyjaciel Stapińskiego i Bobrzyńskiego pogrzebany.

Dumka z nad Prutu.

Płyną modre Prutu fale,
W pośród borów, gajów, pól,
Niosą z sobą me łzy, żale,
I rozpaczy serca ból!

Innym szczęście krasi twarze,
Uśmiecha się błogo los,
Kwieciem drogę ściele w darze:
We mnie ciska gromów cios!

Ja wzamianę mam mogiły
I cmentarnych cieni chłód,
Marzenia się nieziściły:
Droga życia pełna złód!

Szukam gwiazdki na błękicie
Jej przewodnich, jasnych dróg,
Mroczną dla mnie całe życie:
I w cmentarny wiedzie próg!

Płyń mój Prucie hen daleko,
Płyń z poszumem w obcy kraj,
Skryje łzy me trumny wieko:
Skargę duszy mroczny gaj!...

Kołomyja w grudniu 1910.

Szymon Chełpiński.

LISTY.

Tylicz w grudniu.

Z zagrożonej placówki.

W tym właśnie roku czwarty wiek się zaczyna, gdy wielkoduszny biskup krakowski, Piotr Tylecki, umieścił tu orła białego, zwróconego głową ku Węgrom, z rozpostartemi skrzydłami ku wschodowi i zachodowi. Pada i chowa się pod ziemię na widok króla — ptaka stara Ornawa (dawna wieś tutejsza), i powstaje młode dziecko Karpat, biorące imię od swego założyciela, Tylicz. Stąd ma się rozchodzić światło i wiara w okół, a miłością Bożą i bliźniego ma wchodzić w sąsiednie Węgry.

Niestety, jak mysz bojaźliwa, przysiada pod górą dzisiejszy Tylicz. Nie chce rozpościerać się wzorem orła po prześlicznej okolicy i otaczających go górach, niechce odetchnąć świeżem powietrzem i napaść oczy wspaniałym widokiem panoramy górskiej. Pole orła białego zgryzione już na strzępy, bo przylazł szczur ruski i chwyta ciało orła, by je zniszczyć i precz wyrzucić.

Ginie tu lud polski w otoczeniu ruskiem, a że zguba nasza jest wielką stratą narodową, odzywamy się do społeczeństwa, by zajęło się nami jak najenergiczniej.

Już od Grybowa, Nawojowej, Piwnicznej, Muszyny ku południowi i wschodowi okolica zupełnie zruszczona. Do niedawna byli w tych stronach liczni Polacy, dziś coraz mniej, a jak Rusini potrafili tego dokazać, można się o tem dowiedzieć ze sposobu postępowania ich z nami w Tyliczu.

Dla nas niema prawa, ani sumienia, ani nic takiego, aby nas bronić mogło. Przeciw nam wszystko zwracają i prawdziwe wyprawiają orgie, a już to, że przyznajemy sobie prawo życia, jest uważane za bezprawie, za gnębienie Rusinów. Na wiecach ruskich ogłasza się cały „katechizm“, według którego Polakowi wierzyć nie można, bo gorszy on od żyda, dobrze jest u Moskala, gdzie biją Polaków i Żydów, ziemia tutejsza to starodawna ziemia ruska i o Polakach nikt tu nic nie słyszał itp. „Katechizm“ taki układają księża ruscy, a wójt i gmina ściśle spełniają rezolucye wiecu. Oto zamieniono polską komendę przy straży pożarnej na ruską, tworząc „ruską drużynę pożarną“, z której naturalnie wyklucza się Polaków.

Na koszt gminy urządza się bale ruskie w sali gminnej i rozochocona zabawa doprowadza do bijatyki, co n. p. dobrze pamięta zastępca wójta.

Oj, ten urząd gminny! Pewna Polka tutejsza starała się w urzędzie gminnym o potwierdzenie świadectwa moralności i ubóstwa, podpisane już przez rzym. kat. urząd parafialny. W pierwszej chwili naczelnik gminy nie widząc żadnych przeszkód podpisał świadectwo, lecz sekretarz gminy Piotr Brunarski i oglądacz bydła Piotr Hołowczak bezwarunkowo sprzeciwili się temu, mówiąc: „Co jej będziecie podpisywać? Rzućcie jej to, my ta mamy swoje ruskie kandydatki i nie potrzebujemy Polki“. (Prosząca chciała pójść na kurs akuszeryi).

Naczelnik przestraszył się i przekreślił swój podpis. Taka to sprawiedliwość ruska i takie urzędowanie w gminie!

Podobnych przykładów możnaby przytoczyć cały szereg.

Więc tu na polskiej ziemi nie ma Polak najmniejszego prawa i z ziemi ojców naszych chcą nas wypędzić, wystraszyć. Nie mamy jednak strachu i w obronie polskości dusz naszych śmiało staniemy. Lecz pomódz nam musi całe społeczeństwo i niech tych kilka prostych słów naszych będzie przypomnieniem zagrożonej placówki z naszej strony.

Już dzienniki polskie pisały o Tyliczu i już skierowano uwagę w tę stronę. Ale prosimy, by stale o nas pamiętano i spieszono nam z czynną zawsze pomocą, boć szkoda szmatu ziemi polskiej i szkoda ludu polskiego.

Jasielskie.

Co robią i jak wyglądają dziś rządowi ludowcy?

Jeszcze wobec niewielkiej garstki obałamuconych próbują Stapińszczyki chwalić osobę swego wodza. Słuchają i wierzą tym chwalbom chyba tylko agenci „Wisły“. Reszta chłopów już dziś wie, kim jest kupiony przez rząd, Długosza i innych „chłopski obrońca“.

Setki włościan ponaciągał w Banku parcelacyjnym przy kupnie gruntów i przez stratę udziałów — a dziś kraj z podatkowych pieniędzy dokłada to, co przefujarzyli wodze ludowców.

Ale co to szkodzi patentowanym ludowcom, oni i tak mają odwagę mienić się obrońcami i dobrodziejami. Według nich dobrodziejstwem będzie podział chłopów na biednych i bogatych przy wyborach do Sejmu. Według nich lokajowanie i konszachty z rządem to także praca dla ludu. Mało im tego — to teraz Stapiński uwziął się, aby i kanały zaprzepaścić, przefrymarczyć, a jeśli się to już nie da, to przynajmniej pracę całą utrudnić.

I za to wypisuje sobie jeszcze pochwały i uznanie w „Przyjacielu ludu“.

Jak jest w polityce krajowej — tak i w polityce ludowców po gminach. Jaki pan, taki kram — jaki generał, takie i wojsko. Jaki Stapiński, tacy i podkomendni jego. Krzyczy on, że ludowi pomaga, krzyczą więc i oni.

Mamy tego jaskrawe przykłady u nas w jasielskiem. Udało im się wkraść do paru zarządów Kółek rolniczych. Nie robią w nich nic, ale za to politykują, krytykują i knują plany, aby utrącić Powiatową Składnicę Towarową Kółek.

U nich tylko interes partyjny górą. Nic ich nie obchodzi praca współdzielcza, dobro ludu, nic nie dbają o wytworzenie polskiego, chrześcijańskiego handlu spółkowego. Tak robią teraz, tak robili także, gdy zawiązywała się Spółka dla wywozu bydła i trzody. Gdy 16 grudnia było zebranie, z ludowców przybył tylko poseł Madej, ale prócz durnego przerywania mowcom nie zdobył się na nic więcej.

Zresztą z naszym Madejem krucho. Opowiadają tu coraz głośniej, że przed 12 laty Madej popełnił zabójstwo na chłopie ze względów politycznych — a obecnie dopiero jeden świadek tej zbrodni wyjawił prawdę.

Mówią też, że prokuratorya już ma całą sprawę w swych rękach i bada ją, zajęła się już i Madejem i kto wie, czy poseł ludowiec nie zgnije w kryminale albo może nie skończy i wyżej...

Czytaliśmy także w „Przyjacielu", że Stapiński odgraża się procesem i kryminałem redaktorowi „Ojczyzny" — ale dzisiaj głośne tu już jest, że Stapiński tego procesu się boi i radby się cofnąć, zwłaszcza, że i jemu i jego przyjaciołom wisi nad karkiem ciągle jeszcze sprawa Banku parcelacyjnego i Prokuratorya we Lwowie, która bada wszelkie łajdactwa, popełnione przez kierowników Banku parcel. i grozi kryminałem.

Być więc może, że wnet znajdą się obaj „przyjaciele i obrońcy ludu" tam, gdzie ich słuszna czeka nagroda za ich prace i trudy... nad niedolą chłopa.

Jedno jeszcze dodam: świnie straciły kolczyki — a za to kancelarya ludowców rozsyła po koronie odznaki dla swoich. Będą więc c. k. ludowcy odznaczeni..., aby się nikt nie mógł pomylić, z kim ma do czynienia...

Piotr Iskra.

Rzepiennik strzyżewski.

Do początku obecnego roku naszym zakątkiem nie zajmował się wcale świat cywilizowany, i nic dziwnego — nie wydała nasza okolica ani wielkich mężów stanu, ani uczonych sławnych — to też nikt prawie nie wiedział, że jakie Rzepienniki istnieją, chyba kupcy żydowscy, którzy na targi tu przybywają. Spokojne jednak i ciche tutejsze życie doznało rok temu przerwy. Oto dzienniki rozniosły wieść, że natrafiono w sąsiednim Rzepienniku biskupim i w Sietnicy na pokład węgla czarnego — i odtąd rozpoczęło się gorączkowe poszukiwanie. Coraz to częstsze są u nas wizyty różnych inżynierów górniczych, różnych kupców, którzy pragną eksploatować te nasze bogactwa — i obecnie stoimy przed chwilą, kiedy ma zgrzytnąć świder górniczy, a po naszych górach ma rozejść się echo świstawki fabrycznej.

Kogo losy przypadkiem zagnały w te nasze ustronia, ten wie, że Rzepiennik strzyżewski jest miasteczkiem, w którem stale handluje przeszło kilkuset żydów — wie, że są tu i kupcy katolicy, że co środę odbywają się targi na bydło, konie, i zboże — brak jednak stacyi telegraficznej na miejscu, powoduje, że targi nie mogą się rozwinać, gdyż kupcy jak i tutejsi gospodarze narzekają na rząd, iż stacyi telegraficznej nie założył na naszej poczcie, pomimo, że do niej należy cała okolica z 10.000 ludności. Nie darmo wnieśliśmy podanie do dyrekcyi poczt we Lwowie o połączenie nas drutem ze światem, przyobiecaliśmy nawet fury po materyał, jednak ponieważ jeszcze nie otrzymaliśmy odpowiedzi, dlatego prosimy posłów narodowo-demokratycznych, żeby się sprawą stacyi telegralicznej na poczcie w Rzepienniku strzyżewskim zajęli, gdyż taki fakt dla naszej okolicy będzie miał nietylko wpływ na organizujące się kopalnictwo, ale podniesie hande i kulturę naszej okolicy.

Odkąd rozpoczął się tu ruch górniczy, zaczęła się budzić w nas nadzieja, że z fabryką przyjdą do nas książki i gazety, że kiedy tu ruch się powiększy i życie silniejszem tętnem bić pocznie — polepszy się i nasza dola, by synowie nas! zaprzestali szukać pracy za morzem lub w Prusach, kiedy u siebie dosyćby jej mieli — to też patrzymy u nas na tych, w których rękach jest sprawa tutejszej kopalni i ze serca życzymy, by najszybciej rozpoczęli przedsiębiorstwo.

Wroński Zygmunt.

Górka, powiat Rzeszów.

Do roku 1909 w naszej wiosce nie było jeszcze żadnego ruchu oświatowego, aż dopiero pod koniec tego roku zostało zawiązane „Kółko rolnicze", które liczy przeszło 20 członków i dość pomyślnie się rozwija. Z początkiem roku bieżącego zawitała druga ważna instytucya: Koło T. S. L. w Rzeszowie założyło u nas czytelnię, która też uzyskała kilkunastu członków. Nasza wioska jest niewielka, bo liczy zaledwie czterdzieści domów i mieszkańcy jej są niebogaci, a mimo to chętnie garną się do oświaty, bo zrozumiano, że oświata to potęga, że przez oświatę możemy przyjść do dobrobytu. Bo człowiek oświecony potrafi lepiej rolę uprawiać i lepiej z nie korzyści wyciągnąć. Posiedzenia odbywają się co niedzielę, czytamy „Przewodnika Kółek roln.", „Ojczyznę", różne książki treści historycznej i oświatowej. To się też wiele zmieniło tak pod względem rolnictwa, jak i oświaty. Zaczęto lepiej rolę uprawiać na płasko, zaczęto używać nawozów pomocniczych i wprowadzono bardzo wiele odmian tak zbożowych jak i okopowych.

Koło T. S. L. w Rzeszowie urządziło u nas dwa odczyty. Pierwszy odczyt wygłosił przy założeniu czytelni p. prof. Jan Pęckowski z Rzeszowa o „Grunwaldzie". Omówił bitwę pod Grunwaldem, gdzie król polski Władysław Jagiełło powalił u stóp butnego Krzyżaka. Ta żmija wy-

chowawszy się przy boku Matki-Polski, która ją zasłaniała swemi piersiami, gdy urosła w potęgę, rzuciła się na nią, a ten podstępny potomek dawnego Krzyżaka, dzisiaj naszych braci pod swym panowaniem gnębi i wywłaszcza.

Drugi odczyt wygłosił dnia 11 grudnia b. r. p. Franciszek Zając z Jasionki o „Powstaniu listopadowem“. Omówił zrozumiale i szczegółowo cały przebieg powstania od wybuchu aż do upadku. — Gdy naród nie mogąc znieść niewoli, chwycił za broń i pomimo wysiłku wolności nie zdobył.

Dziękując Kołu T. S. L. w Rzeszowie za założenie czytelni i Panom prelegentom za wygłoszenie odczytów, za wyjaśnienie ważnych chwil dziejowych.

Pracujmy nad oświeceniem ludu wiejskiego, tej najliczniejszej warstwy w narodzie, idźmy za głosem wieszcza narodowego, Juliusza Słowackiego i nieśmy przed ludem oświaty kaganiec. Bo gdy ten lud będzie narodowo uświadomiony i gdy przeszło 20 milionowy naród, stanie w zwartym szeregu do osiągnięcia jednego celu, to jest do odzyskania niepodległości, a niezaprzeczenie odzyskamy Polskę o granicach, jaka była za Piastów i Jagiellonów.

Wojciech Rybak.

Kraków.

Ubiegłej soboty, 3 grudnia b. r. — urządziła „Eleuterya“ odczyt „O strasznych skutkach alkoholu“ dla robotników, wracających ze Saksów i Danii do swych rodzinnych stron, do wschodniej Galicyi.

W obszernej poczekalni Twa emigr., w której zgromadziło się przeszło 50 słuchaczy-robotników, przedstawił w wymownych słowach p. prezes Krakowskiej Eleuteryi szkodliwość używania i nadużywania trunków, działanie alkoholu na pojedyncze organa człowieka i zgubne skutki (zwyrodnienie) nietylko dla spożywających alkohole, ale i dla potomstwa.

Dla lepszego zaś zrozumienia wykładu robił doświadczenia z jajem, z bułką i kawałkiem cukru w szklance wody a następnie w spirytusie — zaś na obrazie kolorowym przedstawił sceny z życia robotnika pracowitego i trzeźwego w przeciwstawieniu do robotnika pijanicy, który ciężko zapracowany grosz trwoni w szynku, a niepomny na łzy żony i dzieci, wszczyna bójkę, w której kładzie trupem przeciwnika i kończy życie w kryminale. Wykład swój zakończył prelegent wezwaniem zebranych do wstrzemięźliwości i powtórzenia tutaj słyszanych słów między swoimi. Gdy robotnik polski będzie wstrzemięźliwy — to groszem swoim nie będzie tuczył karczmarzy, ale obróci je na lepsze wyżywienie swej rodziny i jej utrzymanie — wywodził mowca — będzie się starał o lepszą uprawę roli a wtedy szukanie zarobku u obcych stanie się bezcelowem.

WIADOMOŚCI.

Czytelnikom naszym życzymy Świąt wesołych.

Kalendarz „Ojczyzny“ na rok 1911 jest do nabycia w naszej Redakcyi po 1 kor. Nowi prenumeratorzy, jeśli nadeślą 4 korony, jako zapłatę za „Ojczyznę“ na cały rok — otrzymają zaraz i nowy kalendarz.

Podczas świąt pamiętajcie i o „Ojczyźnie“.

„Nowiny“. Do świątecznego numeru „Ojczyzny“ dołączamy bezpłatnie Czytelnikom z zachodniej Galicyi numer „Nowin“ na okaz.

Czytelnikom z Galicyi wschodniej radzimy napisać do Redakcyi „Gońca“ we Lwowie z prośbą o egzemplarz na okaz.

Ś. p. Poseł Karol Czecz zmarł nagle w Krakowie, pozostawiając 8 dzieci i żonę. Zmarły był właścicielem Bierzanowa i Płaszowa i znanym w kraju całym zawołanym gospodarzem. W Towarzystwie rolniczem odgrywał wybitną rolę. Był posłem do Sejmu z kuryi wielkiej własności z okręgu krakowskiego, należał politycznie do obozu konserwatystów krakowskich, czyli stańczyków. Był także marszałkiem Rady powiatowej w Wieliczce.

Na pogrzeb jego do Bierzanowa zjechało wielu posłów z całego kraju, a także namiestnik Bobrzyński i marszałek kraju Badeni.

† Władysław Gruszecki, kierownik szkoły w Sokolnikach pod Lwowem, zmarł 13 b. m. Zmarły był bratem znanego pracownika narodowego, Jana Gruszeckiego, nauczyciela w Jaśle, któremu przesyłamy wyrazy serdecznego współczucia w żalu i stracie.

Naiwni ludzie wydają nauczycielską gazetę: „Szkolnictwo“. W ostatnim numerze piszą oni, że „Gazeta powszechna“, organ posła Stapińskiego i Wąsowicza popełniła na nauczycielu Hawlickim „podłą denuncyacyę“ czyli „podły donos“. Naiwni ludzie! Dopiero teraz o tem się przekonują! A przecież to stara i wypróbowana broń ludowcowa! Dowodów na to mamy całe tuziny!

8-mio godzinna szychta będzie w borysławskich kopalniach naftowych. Na to zgodzili się i właściciele kopalń. Czytelnicy „Ojczyzny“ pamiętają, że Stapiński „imieniem robotników“ sprzedał w lecie to żądanie nafciarzom za 40.000 koron. Wtedy robotnicy, gdyby byli dostali do swoich rąk prezesa ludowców, byliby go chyba żywego nie puścili.

Ankieta prasowa ks. biskupa Chomyszyna. Grecko katolicki ordynaryat biskupi w Stanisławowie, rozesłał do wszystkich gr. kat. proboszczów stanisławowskiej dyecezyi następujący kwestyonaryusz:

1) Czy chrześcianin w ogólności a ksiądz w szczególności, może bez przeszkody dla swojego sumienia popierać dziennik „Diło“, który

w swym liberaliźmie w sprawach religijnych poszedł tak daleko, że w numerze z 22 listopada, w artykule na temat śmierci Tołstoja nie wahał się napisać, że nad jego grobem przychodzą na myśl największe nazwiska historyi ludzkości, „Chrystusa i Buddy".

2) Czy gazety „Prikarpatskaja Ruś", „Gołos Naroda" i „Russkoje Słowo", notorycznie szerzą szyzmę i czy katolik, a przedewszystkiem katolicki kapłan, bez szkody dla swojego sumienia, może je popierać?

3) Jakie jest stanowisko „Haliczanina" w rzeczach wiary i czy dziennik ten nie podkopuje katolickiego ducha i katolickiej wiary?

4) Czy posiadamy gazetę, która na podstawie chrześcijańskich i katolickich zasad, pracuje nad kulturalnem podniesieniem naszego narodu?

Każdy proboszcz jest obowiązany dać na wszystkie te pytania krótką, a jasną odpowiedź i przysłać ją gr. kat. ordynaryatowi biskupiemu w Stanisławowie.

Zaprzańcy. Są niestety i w Poznańskiem jeszcze tacy chłopi i panowie, którzy po cichu ziemię swoją sprzedają Prusakom, albo przy wyborach głosują na Niemców. Oto z Szamotuł, sławnych jeszcze z czasów króla Władysława Łokietka, donoszą, że odbyły się tam wybory 5 delegatów landszaftowych (rolniczych) z małej posiadłości. Wybrano samych Niemców, choć Polaków było więcej. Niemcy dostali 29 głosów, Polacy 28. Znalazło się bowiem kilku odstępców, którzy nie zważając na gorące napomnienie hr. Mycielskiego oddali swoje głosy na Niemców.

Donoszą też do gazet, że dwaj Polacy, Franciszek Kasprzykowski z miasta Golubia i Ossowski z Dziemian zmienili swoje piękne, polskie nazwiska na szwabskie, sądząc, że „fajniejsze". I tak Kasprzykowski nazwał się „Kaspar", a Ossowski „Janke".

Opowiadają też, że kilku gospodarzy na Mazurach sprzedaje grunta swoje pruskiej komisyi kolonizacyjnej.

Kary na księży pod Moskalem. Ksiądz Stanisław Pardo, wikaryusz parafii Tykocina, oskarżony został o obrazę religii prawosławnej z kazalnicy w kościele w Teolinie, gdzie przedtem pełnił obowiązki parafialne. Sąd okręgowy w Suwałkach skazał go za to na półtora roku więzienia w fortecy, a Izba sądowa warszawska wyrok ten zatwierdziła. Obrońca księdza Pardy odwołał się jednak do senatu w Petersburgu i uzyskał uchylenie wyroku. Wskutek polecenia senatu Izba sądowa warszawska sądziła w tych dniach sprawę ponownie i ksiądz Pardo został skazany na pięć miesięcy zamknięcia w klasztorze.

Sąd okręgowy grodzieński skazał w tych dniach księdza Marcina Puzyrewskiego, proboszcza z Zabłudowa w powiecie białostockim, na 10 rubli kary i trzymiesięczne usunięcie od pełnienia obowiązków parafialnych za to, że ochrzcił dziecko, którego jedno z rodziców jest prawosławne. Księdza Adolfa Michniewicza, proboszcza w Brzostowicy Wielkiej, również w powiecie białostockim, tenże sąd skazał na 6 rubli kary za tajemną naukę dzieci.

W mieście powiatowem, Oszmianie, zasiadał w tych dniach sąd okręgowy wileński. Między innemi skazał on na 30 rubli kary i trzymiesięczne usunięcie od obowiązków parafialnych księdza Kazimierza Cholawę, oskarżonego o to, że wyspowiadał niepełnoletnich włościan i udzielił im komunii św., chociaż wiedział, że są prawosławnymi.

Zamykanie szkół T. S. L. na Bukowinie. Rada szkolna okręgowa w Strożyńcu, chcąc zmusić polskie dzieci, aby uczęszczały do ruskiej szkoły, poleciła osobnym ukazem, aby polską szkołę do dni 3 zamknięto. Polacy oparli się tej samowolnej uchwale i udali się telegraficznie do prezesa Głąbińskiego, prosząc o pomoc.

Ćwiczenia obrony krajowej w r. 1911. Na ćwiczenia w r. 1911 będą przy obronie krajowej powołani: w okręgu komendy w Krakowie dla pułków numer 13, 15, 16, 31 i 32 dzień 12 czerwca; w Przemyślu dla pułków numer 17, 18, 33 i 34 dzień 16 czerwca; we Lwowie dla pułków numer 19, 20, 22, 35 i 36 dzień 13 czerwca.

Stosunki w Zagłębiu Ostrawskiem na Śląsku i Morawach są wprost straszne. W ciągu 11 miesięcy w tej węglowej okolicy popełniono 19 morderstw, 1600 zbrodni i przeszło 10.000 przestępstw. Porządek utrzymuje tam 310 żandarmów i 244 policyantów.

Socyalista Daszyński pojechał na zarobek do Ameryki. Niech jednak nie sądzą nasi Czytelnicy, że pojechał tam pracować w fabryce albo w kopalni. Pan Daszyński jest prawdziwym socyalistą, więc i pracuje po swojemu. Oto pojechał on do Ameryki, aby swoim zwolennikom powiedzieć kazanie o dobroci socyalizmu. Miał on tam 67 kazań czyli wykładów, a za każdy kazał sobie płacić. Najmniej brał 40 dolarów, a najwięcej 110 dolarów. Zarabiał więc nieźle.

Wracając z Ameryki miał p. Daszyński ostatnie kazanie w Bremie. Tu nie chcieli mu zapłacić; w końcu na odczepnego dali mu 60 marek (około 70 koron).

W tych dniach przybył już p. Daszyński razem z metropolitą Szeptyckim do naszego kraju. Po drodze dobrze się nagadali — jak tępić narodowców polskich...

Ameryka. Straszny pożar. Olbrzymi pożar zniszczył niedawno papiernię Towarzystwa Paper-Box-Company w Newark w stanie New Jersey (Ameryka Północna). Pożar ogarnął budynek fabryczny niezwykle szybko; zanim nadbiegła straż ogniowa, już cała fabryka stała w ogniu. Robotnice, przeważnie młode dziewczęta, które pracowały na pierwszem i drugiem piętrze,

zdołały się uratować; te, które pracowały na trzeciem i czwartem piętrze, miały drogę ucieczki odciętą.

Nieszczęśliwe stanęły w oknach, otoczone przez płomienie. Zaczęto znosić drabiny i wołano na nie, aby zaczekały. Wiele z nich jednak rzuciło się na bruk, znajdując na nim śmierć lub ciężkie kalectwo.

Podniesiono z bruku 25 ciężko pokaleczonych robotnic. W fabryce znaleziono 12 trupów, niektóre tak były zwęglone, że nie można ich było poznać. O losie 25 robotnic nic nie wiadomo; prawdopodobnie ich trupy leżą pod gruzami fabryki.

Tym sposobem liczba zabitych wynosiłaby 37; prawdopodobnie jednak jest większa. W jednym telegramie mowa jest o 14 dziewczętach, które zabiły się na miejscu, wyskakując z okien; w takim razie liczba trupów wzrosłaby do 51.

Klęski żywiołowe. Portugalię i Hiszpanię nawiedziły powodzie i nawałnice. Na wybrzeżu morskiem zginęło kilka statków. Połączenie telegraficzne i telefoniczne w wielu miejscach przerwane, tak że dokładnej liczby ofiar określić nie można. Miejscowość Ribatajo pod Lizboną stoi cała pod wodą. Także w okolicach Madrytu wyrządziły ulewy ogromne spustoszenia. Kilka pociągów kolejowych musiano wstrzymać dla wylewu rzeki Tajo.

Największy parowiec. Towarzystwo żeglugi Cunarda buduje parowiec pospieszny, który pod względem wielkości przewyższa wszystkie zbudowane w latach ostatnich olbrzymy. Parowiec ten będzie poruszał się z szybkością 23 mil morskich na godzinę. Koszt budowy tego okrętu obliczono na 50 milionów koron. Parowiec pomieści blizko 4.000 pasażerów, a mianowicie 650 w klasie pierwszej, 740 w drugiej a 2.400 w trzeciej.

Polacy w Kijowie. Przy wyborach do Rady miejskiej w Kijowie na Ukrainie wybrani zostali Polacy jako radny dr Kozłowski, a jako zastępca dr Bychowski.

Ratunek na morzu. Niemiecki statek „Wilhelm“ utonął w Bałtyku. Kapitan zginął w falach. Dwóch majtków zdołało się utrzymać przez 13 godzin na maszcie, sterczącym ponad powierzchnią wody. Wyratował ich parowiec przejeżdżający.

Długowieczność. W San Diego, w Ameryce, zmarł Meksykańczyk, Juan Burcel, który przeżył 122 lata, cztery miesiące i 20 dni.

Wyrodna córka. Żołnierz policyjny patrolujący na ulicy Bocheńskiej w Podgórzu — zawezwany został do jednego z domów na tejże ulicy, gdzie zamieszkała żydówka, niejaka Blima Mendelbaum, znęcała się nad swoimi starymi rodzicami i biła ich rozmaitymi przedmiotami. — Katowanie rodziców przez Blimę trwało już od dłuższego czasu, wobec tego policya wyrodną córkę aresztowała.

„Czas to pieniądz“, mówią Amerykanie, ale ciekawą rzeczą wiedzieć, ile przynosi minuta? Zależy od tego, czyją jest ona własnością: Pierpont Morganowi płacą za 20 minut 500 dolarów. Każda minuta przynosi mu 100 koron. Cenniejsza jest minuta Carnegiego, przynosi mu bowiem 160 kor., a król naftowy Rockfeller taksuje każdą minutę 180 kor. Delmas, najzawołańszy adwokat Stanów Zjednoczonych zgarnął za proces mordercy Tawa 400.000 kor. Przemawiał wtedy przez 1.800 minut, otrzymał zatem za każdą minutę po 22 koron. Kosztowniejszy jest czas lekarzy, szczególnie chirurgów: Pean pobierał za operacyę, która trwała 8 minut, zwykle 15.000 franków; raz otrzymał był nawet telegraficzne zamówienie na operacyę 10 minutową za 60.000 franków, przyniosła mu więc minuta sześć tysięcy koron, a znany chirurg Dojen otrzymał przed 4 laty za operacyę 10-minutową 100.000 koron.

Sławny śpiewak Carusso śpiewa po stałej cenie 10.000 koron, a rachując, że śpiewa jednego dnia 25 minut, każda minuta śpiewu przynosi mu 400 koron.

Muzycy również dobrze wychodzą. Genialny nasz Paderewski, fundator pomnika Grunwaldzkiego, otrzymuje za występ w sali hotelu Astor w Nowym Jorku 2.000 dolarów, to jest, że minuta gry przynosi mu 360 kor. Śpiewaczka Patti za 20 minut śpiewu otrzymała 24.000 kor., a więc 1.200 koron za minutę.

Ile też za minutę zarobi chłop na roli?

Przeciw marznięciu nóg. Doskonałym i niezawodnym środkiem, są wkładki futrzane do butów z skórki króliczej, które każdy posiadający króliki może sobie zrobić. W tym celu skórkę zabitego królika kraje się od szyi do ogona po stronie brzusznej — naciągnąć na deskę, stroną mięsną do wierzchu i wysuszyć. Po ośmiu dniach kraje się skórkę według podeszwy butów Aby skórkę z pasorzytów oczyścić, posypuje się ją ogrzanym piaskiem wciera się piasek silnie we włosy następnie strzepuje.

Ze Stróży pow. Limanowa, piszą nam „inni sąsiedzi“, że stary wójt, o którym pisaliśmy przed paru tygodniami nie był taki zły i nawet zgromadzenia urządzał. Redakcya „Ojczyzny“ życzy Stróżanom, aby na przyszłość w gminie wszyscy tępili pijaństwo i proceśnictwo, a pracowali dla dobra narodu — a będzie zgoda i zamożność w gminie.

Fabryka pieniędzy pod mostem. Ferdynand Zilińsky zrobił sobie fabrykę pieniędzy pod mostem w Kagran nad Dunajem. Był majstrem od srebrnych jedno i pięciokoronówek. Zamiast srebra używał cyny z łyżek. Ale go także schwycono i zamknięto w kozie.

Djak ruski robi fałszywe pieniądze. W Sławentynie, pow. Podhajce, był djak, Ołeksa Juchnowicz, bardzo sprytny i zdolny. Własną sztu-

ką wyuczył się niemieckiego, a potem i innych rzeczy. Doszedł do tego, że wyuczył się w tajemnicy przed innymi nawet wyrabiania fałszywych pieniędzy po 10 i 20 koron w złocie. — Przyłapano go, gdy chciał w Stanisławowie płacić takim pieniądzem podrobionym. Mądry djak poszedł do kozy.

Żyd-kazirodca. Do policyi w Krakowie, zgłosiły się dwie dziewczęta żydowskie, 16-letnia Freida i 18-letnia Gitla Hauswirth, oskarżając ojca swego rytualnego 41-letniego Eliasza Polanitzera, wyrobnika, pochodzącego z Mielca, o zbrodnię zgwałcenia. Wyrodnego ojca aresztowano.

Mściwy kochanek. Dziewiętnastoletni młodzieniec Budzianowski, z fachu „pośrednik w handlu nierogacizną" w Kołomyi zakochał się „na śmierć" w przystojnej i miłej służącej, Antosi Siedleckiej, która go jednak nie chciała.

Mszcząc się na niej, napadł ją kilka razy na ulicy i pałką nakłaniał do wzajemności, za co już odpowiadał sądownie.

Dnia 10-go b. m. znów spotkał ją na ulicy i tak gruntownie niemiłosiernie obił deską, wyrwaną z parkanu, że nadobna Antosia musiała się poddać kuracyi lekarskiej a mściwym kochankiem zajęła się c. k. prokuratorya.

Czy już można go powiesić? Rozstrzygnięciem podobnego pytania ma się zajmować komisya... lekarsko-sądowa w Warszawie, zwołana w sprawie niejakiego Jana Langiego, którego przed kilku laty sąd wojenny skazał na śmierć. Wyroku dotychczas nie wykonano, gdyż przed egzekucyą wyszło na jaw, że Langie dostał pomięszania zmysłów, a w myśl przepisu prawa w razie choroby skazańca egzekucya musi być odroczoną aż do jego wyzdrowienia. Obecnie zaś władze doszły do wniosku, że Lange wyzdrowiał i postanowiły stawić go przed komisyą, której zadaniem będzie orzec, czy choroba trwa, czy przeszła. Jeźli jest zdrowym, będzie powieszonym.

Ciekawa przygoda pewnego lisa. Przed kilkoma laty złapał się w łapkę, zastawioną przez leśniczego Kusza, lis. Co prawda lisa w łapce nie było, ale świadczyła o tem stercząca w niej lisia noga. Po roku wpadł ów lis drugi raz w łapkę, zastawioną na ptaki. Leśniczy Wicht, idąc rankiem oglądać łapkę, zauważył, że została ona zawleczoną w krzaki. Oglądając się na wszystkie strony, spostrzegł naszego trójnożnego lisa, jak z bolesną miną wlókł za sobą łapkę. Leśniczy uderzył go porządnie kilka razy kijem, a gdy lis wyciągnął się jak długi, zahaczył go na razie z łapką o krzak i odszedł na jakiś czas. Gdy przyszedł z powrotem, lisa już nie zastał. Zostawił on w łapce drugą swoją nogę i o dwóch umknął. Lecz życie w takiem położeniu nie robiło mu oczywiście żadnej przyjemności; nie mogąc o dwóch nogach uganiać się za zwierzyną, zaspokajał głód byle czem, nie dziw przeto, że ogromnie zmizerniał. Z czasem jednakże głód popchnął go do tego, że trzeci raz dostał się w łapkę. Leśniczy Ferster, zobaczywszy w niej dziwoląga o dwóch nogach, wpakował lisa w miech i zaniósł go do domu. Tu wybudował mu w podwórzu budę i obgrodził ją płotem drucianym głęboko w ziemię idącym. W niewoli lis podreperował swoje zdrowie, gdyż chcąc sobie wynagrodzić swą dawniejszą biedę, żarł teraz za trzech. Ta żarłoczność nowego gościa sprzykrzyła się wkrótce pani domu i namówiła ona męża, aby następnego dnia zabił tak wielkiego darmozjada. Ale o dziwo! Przebiegły lis, zmiarkowawszy widocznie zamiary swego państwa, w nocy podkopał się pod ogrodzenie i umknął o dwóch nogach do lasu. Cieszy się on teraz znowu złotą wolnością, pytanie jednak, na jak długo.

Samobójstwa w armiach. Na milion żołnierzy popełnia samobójstwo, wedle statystyka niemieckiego: w Austryi 1253 żołnierzy, w Niemczech 632, we Włoszech 407, we Francyi 333, w Belgii 244, w Anglii 209, w Rosyi 162. Wynika stąd, że w armii austro-węgierskiej jest największy procent samobójstw. Niestety w statystyce owej niema podziału na narodowości, ale z pewnością samobójcy z powodów „służbowych" należą przeważnie do narodowości nie niemieckich, narażonych na rozliczne szykany w wojsku.

Ukarany plotkarz polityczny. Redakcya londyńskiej gazety „Daily Chronicle" została skazaną na zapłacenie 120 tysięcy koron odszkodowania kandydatowi konserwatywnemu Simonsowi, za twierdzenie, że Simons głosował jako poseł w poprzednim parlamencie przeciw popieraniu ubogich dzieci. Sędzia wydał taki wyrok, uważając, że w walce wyborczej nie powinno się chwytać podobnych a nieprawdziwych środków.

Milionowa fundacya. Miliarder amerykański Carnegie ofiarował wydziałowi, składającemu się z kilku mężów zaufania pod przewodnictwem prezydenta Tafta, 10 milionów dolarów (50 mil. koron, jako fundusz wiekuisty na zniesienie wojen. W akcie powiedziano między innemi: Tylko zabijanie dzikich zwierząt jest zrozumiałem. W wojnie nie rostrzyga prawo, lecz przemoc. Dlatego zbrodniczym jest naród, który odrzuca sąd rozjemczy.

Wszystkie fundacye Carnegiego na cele dobroczynne dosięgły obecnie 180 milionów dolarów (900 milionów koron). Drugi miliarder, Rockefeller podarował na cele podobne 120 milionów dolarów (600 milionów koron).

Wóz z ludźmi pod kołami pociągu. Na linii janowskiej zdarzył się w ubiegły piątek popołudniu około godz. 5 śmiertelny wypadek. Właśnie jechał włościanin z żoną na furze do Stawek ze Lwowa, i z powodu mgły nie zauważył pociągu nadjeżdżającego z Janowa w stronę

Lwowa. W tej chwili, kiedy zjechał na tor, aby ominąć furę, lokomotywa pochwyciła konie. Wóz rozleciał się, włościanin ciężko został zraniony, żona jego została zabita na miejscu, konia jednego także zabiło, drugiemu połamało obie nogi.

Także przejeżdżający obok włościanin z Rzęsny ruskiej, który pospieszył na pomoc nieszczęśliwym, został ciężko pokaleczony.

Zawikłane pokrewieństwo. Pewien kupiec w Bytomiu, jakkolwiek dopiero 32 lata liczy, jest już szczęśliwym teściem i dziadkiem. Rzecz ma się następująco: przed mniejwięcej 5 laty ożenił się ów kupiec z wdową, która już miała dorosłych synów, on zaś miał dorosłą siostrę. Jeden z tych synów, względnie pasierbów, ożenił się z wzmiankowaną powyżej siostrą kupca, który dla swego pasierba stał się dziewierzem (szwagrem), a dla swej siostry teściem. Gdy młode to małżeństwo obdarzone zostało synem, kupiec ów stał się wujem i jednocześnie dziadkiem dla tego malca, tymczasem zaś własny syn kupca stał się szwagrem swej własnej ciotki.

Pomysł idyoty. Na ulicy Krochmalnej w Warszawie, jakiś obłąkany wszedł na dach wysokiego domu i nie chciał z niego zejść, pomimo próśb i nalegań. Trwało to kilka godzin i nikt z licznie zebranej publiczności nie mógł wynaleść sposobu sprowadzenia obłąkańca z dachu. W końcu zjawił się znany w tej okolicy głupi, który, widząc tę scenę niezwykłą, wydobył pudełeczko zapałek i zapaliwszy jedną z nich, krzyknął: „W tej chwili podpalę dom, jeżeli nie zejdziesz z dachu". Groźba ta natymiast poskutkowała i obłąkany zszedł prędko.

Tajemnicze morderstwo. Tajemniczej zbrodni dokonano znowu w Berlinie na pewnej 68-letniej staruszce, kapitalistce Hoffmann, we własnem jej mieszkaniu. Na ślad zbrodni natrafiono dopiero tydzień po jej spełnieniu. Zwłoki zamordowanej spoczywały w łóżku w wielkiej kałuży krwi i w silny już przeszły rozkład. Według dochodzenia policyi kryminalnej, padła Hoffmannowa ofiarą morderstwa rabunkowego, z ręki kobiety, morderczynię atoli przed dokonaniem rabunku przypuszczalnie spłoszono. Na wyśledzenie zbrodniarki prezydent policyi berlińskiej wyznaczył 3.000 marek nagrody.

Spaleni we wrzącem żelazie. W lejarni stali w Bochum (w Westfalii), przy odlewaniu kół żelaznych zerwał się łańcuch z naczyniem, zawierającem 13.000 kilogramów wrzącego metalu i płynne żelazo wylało się na trzech stojących w pobliżu robotników. Spłonęli oni żywcem. Czwarty robotnik odniósł ciężkie poparzenia, kilku jest lekko rannych.

Strzelanina bandytów na dworcu w Łodzi. W poprzedni czwartek przy odejściu pociągu osobowego z Łodzi do Warszawy, agenci „ochrany" spostrzegli 5 znanych im bandytów, którzy kupiwszy bilety wsiedli do pociągu. Pociąg miał już ruszyć, gdy agenci przystąpili do aresztowania. Bandyci w tej chwili rozpoczęli strzelanie. Przerażeni podróżni zaczęli rzucać się na ziemię. Żandarmi dobyli pałaszy, ale w krótkiej chwili bandyci zastrzelili oficera i jednego agenta „ochrany", a ciężko zranili żandarma, 1 podróżnego i 1 agenta. Powstał popłoch, podczas którego wszyscy bandyci zbiegli.

Dzieci wysłano pocztą jako paczki. Pewna rodzina, wyprowadzająca się do Kanady, dwoje córek zostawić musiała w Anglii u krewnych. Później rodzice kazali przysłać je sobie — pocztą. Poczta przyjęła je jako „paczki". Dzieci zaopatrzono w paski z adresem i tak podczas podróży koleją jak i parowcem opiekowała się niemi służba i podróżni, zasypując je zabawkami i łakociami. Obie dziewczęta przebyły podróż w jak najprzyjemniejszy sposób i szczęśliwie zajechały — jako paczki — do rodziców. Żałowały podobno, że podróż tak wnet się skończyła.

Produkcya surowca żelaznego w Niemczech w ostatnich 30 latach przedstawia się jak następuje: 1880 r. wytworzono 2,929.038 ton, 1890 r. 4,658.441 ton, 1900 r. 8,520.541 ton, 1909 r. 12,625.575 ton. — W roku 1910 będzie prawdopodobnie jeszcze większy wzrost produkcyi, bo w październiku ogólna produkcya wynosiła już 12,213.000 ton, tak, że w całym roku produkcya surowca wynosić będzie prawdopodobnie około 14,500.000 ton, najwyższa cyfra, jaką wydały kiedykolwiek wielkie piece.

Zamykanie polskich związków zawodowych pod zaborem rosyjskim. Zaledwie kilka minęło tygodni od chwili zamknięcia „Polskiego

Związku Zawodowego Drukarzy", a już nowy cios spadł na polski ruch zawodowy. Władze zamknęły „Polski Związek Zawodowy Cieśli, Stolarzy i pokrewnych zawodów", jedną z najdawniejszych i najszerzej rozgałęzionych organizacyi naszych. Jakie były przyczyny zamknięcia, dociec dotychczas niepodobna.

„Ojczyzna" w Sejmie śląskim. Znany przywódca renegatów śląskich, poseł na Sejm z powiatu bielskiego, Kożdoń, miał w czasie ostatniej sesyi Sejmu śląskiego, „kilometrową" mowę przeciwko Wszechpolakom, którą do dziś dnia drukują jeszcze polakożercze gazety niemieckie. W mowie tej denuncyował między innemi ks. Stojałowskiego, że austryackie „c. k." przetłomaczył na któremś zgromadzeniu na „c.(ałkiem k.(kiepski). Bardzo się na ten żart p. Kożdoń oburzał.

Pan Kożdoń oskarżał Polaków, że śmią być bardziej Polakami niż austryakami (co za zbrodnia!). A na dowód przytaczał wyjątki z różnych pism polskich: „szególnie pouczającą" wydała mu się „Ojczyzna". To też przytaczał kilka artykułów znanych naszym czytelnikom, jak n. p. z czerwcowego numeru artykuł „Dokąd dążymy?", albo jeden z sierpniowych numerów, gdzie żądaliśmy, żeby lud oświecać w imię niepodległości Polski, a nie w imię przynależności do Austryi. Ze świętem oburzeniem zapytywał p. Kożdoń, jak władze rządowe mogą na to pozwolić!

Głupia to i naiwna denuncyacya, boć władze rządowe i bez p. Kożdonia wiedzą, co mają sądzić o naszych uczuciach narodowych. Ale nie zaszkodzi, że Kożdoń przeczytał wyjątki z „Ojczyzny" i przetłumaczył je posłom śląskim. Dowiedzieli się z nich bowiem ci „baronowie węglowi" i hakatyści śląscy, o czem dawno wiedzieć powinni że odrodzenie ludu polskiego i poczucie narodowe wzrasta jak fala, której żadne tamy hakaty nie przemogą. *Wszechpolak.*

Z Denysowa piszą nam: Spadły tu takie śniegi, że nie można było wyjść z chałupy. Chłop jechał z kolei, zabłądził w polu i zmarzł. Taki sam los spotkał robotnika kolejowego nieznanego z nazwiska.

Dawne kary. W r. 1481 władze miejskie w Ambert we Francyi wydały taki ukaz:

Każda przekupka, która sprzedaje rozwodnione mleko, ukarana zostanie w ten sposób, że włoży się jej lejek w usta i będzie się w nią lać mleko w takiej ilości, jaką według orzeczenia lekarza wytrzyma bez niebezpieczeństwa dla życia.

Każdy przekupień, który sprzedając masło, wkłada do niego ziemniaki, kamyki itp., aby zyskało na wadze, zostanie publicznie przywiązany do pala. Następnie położy się mu na głowę kawał masła, które tak długo będzie ogrzewane promieniami słońca, aż się rozpłynie, wówczas publiczność może przyprowadzić psy, aby się rozkoszowały tem spływającem masłem. W czasie niepogody roznieci się obok pala ogień, który ma spełniać taką funkcyę, jak w powyższym wypadku słońce.

Każdy handlarz, sprzedający zepsute jaja, będzie postawiony pod pręgierzem, a zepsutemi jajami mogą sobie dzieci dla zabawki rzucać na twarz i odzienie delikwenta.

Takie to były przepisy za onych dawnych, dobrych czasów.

Żarty. Pan Szastalski ma ślub o 10 rano. Szewc spóźnił się z bucikami o pół godziny. Pan Szastalski wymyśla mu od wszystkich piorunów i błyskawic.

Szewc: „Tylko spokojnie, mój panie. Za rok, kto wie, czy nie powiesz: „Gdyby ten szewc spóźnił się o dwie godziny, gdybym był nie wziął ślubu, o jakże byłbym szczęśliwym! Ale żałość będzie już za późna".

Środek na zarazę pyska i racic (na pryszczycę). Bardzo dobrym środkiem na pryszczycę jest odwar z wrzosu. Wrzos wyrwany z ziemi z korzeniami wkłada się do worka i gotuje się w kotle. Wody użyć tyle, aby napar ten nabrał koloru mocnej herbaty. Ostudza się i daje na sztukę butelkę naraz, trzy razy dziennie.

Należy to powtórzyć przez trzy dni, czyli sztuka każda otrzyma tego naparu 9 butelek. — Nie należy zarażać wszystkiego bydła, jak to zalecają niektórzy, lecz gdy tylko się spostrzeże, że bydło zaczyna się ślinić, w tej chwili tego

środka użyć. Środek to tani, łatwy, dla każdego przystępny. W kilka dni chorobę się przerywa, o tak dalece szybko, że w gromadzie sztuki zdrowe, które nie zdążyły się jeszcze zarazić, tchoroby nie przechodzą.

W razie, jeżeli całe stado jest już od dłuższego czasu chore, trzeba niezależnie od dawania wewnątrz, obmywać tymże odwarem trzy razy dziennie racice, oraz wymiona, opóźnienie kilkodniowe może rozwinąć chorobę, która, gdy opanuje już wymiona w postaci pryszczyc na nich, przyprawi o klęskę najliczniejsze stado, mogąc powodować duży procent wypadków śmierci. Wrzos kwitnie różowo przez całą jesień, najlepszy czas nazbierać go na zapas w październiku.

ODPOWIEDZI.

P. Michał Opałka w Treb. Nalezy się jeszcze 1 kor. 27 gr. — P. Piotr Balon w W. Otrzymaliśmy, dziękujemy. — P. Piotr Barylski w T. Przedpłata niezapłacona.

P. Grzegorz Bereś w Trz. Przedpłata za r. 1910 uiszczona. — P. Antoni Furmaniuk w Wł. Rocznie 3 ruble. — P. Józef Maziarski w Z. Kwartalną przedpłatę otrzymaliśmy 26 listopada. „Ojczyznę“ rozsyłamy wszystkim jednakowo we czwartek lub w piątek; nie rozumiemy więc, dlaczego pan otrzymuje ją o kilka dni później, niż sąsiedzi. Przyczyna leży niezawodnie w miejscowych stosunkach. — P. Jan Kowalczyk w Z. Wysyłamy. Zapłacone do 1 lipca 1910. — P. Wł. Szurlej w Am. Za pieniądze dziękujemy. Kalendarz wysyłamy do Dothego.

Na składzie w Redakcyi „Ojczyzny“ są do nabycia:

KAZIMIERZ WIELKI

w sześćsetną rocznicę urodzin napisał

Stanisław Rymar

Cena 60 hal.

KONSTYTUCYA TRZECIEGO MAJA

wstępem zaopatrzył

ANTONI SOSNA.

Cena 25 hal.

Pod Raszynem, Pod Górą Kalwaryą

napisał

STA-RY.

Cena 50 halerzy.

Ustawy gospodnio-szynkarskie

objaśnieniami zaopatrzył

Poseł prof. Dr. JÓZEF BUZEK.

Cena 50 halerzy.

Przy zamawianiu należytość najlepiej przesłać w markach pocztowych i to z góry.

Adres: **Redakcya „Ojczyzny“ Kraków, Rynek 46.**

Ważne dla każdego.

Dla udogodnienia Sz. Publiczności założyliśmy wKrakowie częściową wysyłkę słynnej Herbaty Chińsko Rosyjskiej, marka „Zegar światowy“, wysyłamy takową opłatnie do każdej stacyi pocztowej w całem państwie Austro-Węgier, za zaliczką, po cenach hurtownych, a mianowicie:

N. 1 1/2 kg. Gospodarskiej ...	K. 3.-	N. 4 1/3 kg. Carski-Imperial .	K. 6.80
„ 2 1/2 „ Moskiewsk.-miesz.	„ 4.20	„ 5 1/2 „ Caraw-Oolong...	„ 8.40
„ 3 1/2 „ Pekinska miesz...	„ 5.40		

BRACIA ROLNICCY, Kraków W.

Dewiza: TANIOŚĆ, DOBROĆ i TRWAŁOŚĆ!

Ignacy Cypres Kraków, Floryańska 49.



Sprzedaje towary i nadal po nadzwyczajnie tanich cenach. 1 Brytania anker Rem. system Roskopf z szwajcarskim werkiem i pięknym łańcuszkiem tylko za kor. 3·90. Ameryk. elektr. złoty Remontoir kieszonkowy z marką systemu Roskopf, 36 godz. idący, płaski z metal. cyferblatem wraz z pięknym łańcuszkiem kor. 4·50. Srebrny Roskopf o trzech kopertach, bardzo silny 10 kor. Stalowy damski Remontoir kor. 7·80. Budzik najlepszy kor. 3·—. Łańcuszki srebrne od kor. 2·—. Zegarki złote damskie od kor. 20·—.

Bogato ilustrowane cenniki na żądanie darmo i opłatnie.

„GONIEC“ NAJTAŃSZY ILUSTROWANY DZIENNIK

POD REDAKCYA WOJCIECHA DĄBROWSKIEGO

Redakcya i Administracya, Lwów, ul. Sokola l. 1.

Prenumerata miesięczna z przesyłką pocztową 1 kor. 50 h. Numer pojedynczy 4 hal. Prenumeratorowie półroczni otrzymują bezpłatnie dwutygodnik „Gońca“: „Kłosy Polskie“, roczni prócz „Kłosów Polskich“ otrzymują Kalendarz **„Ojczyzny“.** Miesięczni i kwartalni prenumeratorowie otrzymują „Kłosy Polskie“ za dopłatą 40 hal.

W skład redakcyi „Gońca“ wchodzą:

Wojciech Dąbrowski, jako wydawca i naczelny redaktor, dalej Karol Wierczak, Bogdan Czajkowski, Jerzy Bandrowski, Stanisław Tetry, Wincenty Horodyski i Józef Łomnicki.

Współpracownikami „Gońca“ zaś są:

Poseł dr. E. Adam, poseł St. Bieniowski, prof. dr. Marcin Ernst. poseł B. Fidler, dyr. S. Garczyński, dr. St. Grabski, J. Gruszecki, dr. Matylda Goldfluss, dr. J. Kasprowicz, dr. W. Kozicki, Z. Koźlik, Br. Kryczyński, ks. Józef Mach, poseł A Maślanka, J. Madejczyk, St. Natanson, dr. J. Gw. Pawlikowski, Z. Podgórski, poseł dr. Józef Ptaś, Zygmunt Raczkowski, prof. St. Rymar, Maciej Stopyra, Piotr Soboń, dr. Szelągowski, Tadeusz Sobolewski, poseł dr. Al. Skarbek, ks. St. Władyka, H. Wirstlein, red. Z. Wasilewski, Stanisław Womela, dr. St. Zakrzewski, poseł Jan Zamorski i wielu innych.

„SLAVIA“ Bank wzaj. ubezpieczeń w Pradze.

(założony w 1869 r., w Galicyi od 1874 r.)

ukończył w 1908 r. 40-sty rok swej działalności i w ciągu tego czasu wzrosły we wszystkich sekcyach:

Fundusze rezerwowe i gwarancyjne na .	K.	44,437.036
Ubezpieczone sumy we wszystkich sekcyach	„	1.223,285.217
Roczna wpłata premii	„	10,322.875
Wypłacone kapitały i wynagrodzenia szkód	„	103.600.923
W tem za rok 1908	„	6,386.492
Wypłacone zapomogi na przyrządy i straże ogniowe	„	331.442

SLAVIA przyjmuje: W Sekcyach I. i II. ubezpieczenia na dożycie pewnego wieku lub na wypadek śmierci, tudzież ubezpieczenia posagów dla dzieci. — W Sekcyi IV. ubezpieczenia od szkód ogniowych w budynkach, ruchomościach, towarach, zbożu, bydle i t. d.

Taryfy SLAVII są bardzo mierne, a warunki ubezpieczenia nader korzystne.

Taryf i druków na wnioski wszelkiego rodzaju ubezpieczeń ogniowych i życiowych, tudzież wszelkich żądanych wyjaśnień jak najchętniej udziela **Generalna Reprezentacya SLAVII na Galicyę i Bukowinę: Lwów, ul. Kopernika, 30, — oraz Reprezentacya w Krakowie: ul. św. Jana 1.**

SLAVIA przyjmuje zgłoszenia o udzielanie agencyi na miejscowości i okolice, gdzie niema jeszcze zastępców i chętnie udziela agencye inteligentnym rolnikom.

Wydawca i redaktor odpowiedzialny: **Andrzej Nowak.**
Kraków. — **Druk W. Korneckiego i K. Wojnara pod zarządem Adolfa Nowaka.**